

Rok XXXI

Nr e-134 (330)

Grudzień 2017

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



Tradycyjne miejsce przy wigilijnym stole	Ryszard M. Remiszewski	3
--	------------------------------	---

Z NASZEGO REGIONU

O kaczawskich różach i drogach	Krzysztof Gdula	6
Břidličná – miasteczko w Niskim Jesioniku	Bartosz Skowroński	8

OJCZYSTE SZLAKI

Trohaniec – kolejny zaginiony szczyt do Korony Gór Polski?	Sebastian Jakobschy	10
Jak Orłowicz chciał ulepszać Zakopane	Tomasz Kowalik	11

EKOLOGIA NA SZLAKU

Finał konkursu „Ochrona przyrody w Polsce”	Krzysztof Tęcza	14
--	-----------------------	----

GLOBTROTER

Słowianie	Janusz Fuksa	15
-----------------	--------------------	----

TRASA MIESIĄCA

W dzikich ostępach Rezerwatu Żebracze	Juliusz Wysłouch	18
---	------------------------	----

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Dwa stulecia zorganizowanego przewodnictwa w Sudetach	Zbigniew Piepiora	21
43. wycieczka Rajdu na Raty 2017	Krzysztof Tęcza	23
Przejście szlakiem im. Tadeusza Stecia	Krzysztof Tęcza	24
Bogda i Mietek zapraszają do Zgorzelca	Sławomir Chojnacki	26

PORADNIK TURYSTY

Niespodziewany początek zimy	Juliusz Wysłouch	29
------------------------------------	------------------------	----

SYLWETKI NA SZLAKU

Jeden z wielu zapomnianych	Tomasz Kowalik	31
----------------------------------	----------------------	----

RECENZJE I NOWOŚCI

Miasto i gmina na osi rzeki	Tomasz Kowalik	33
Poeta i botanik o roślinach Pienin	Tomasz Kowalik	34
Mieczysław Karłowicz w Tatrach	Sebastian Jakobschy	35

LISTY, OPINIE, POLEMIKI

Leją beton na gór szczycie	Juliusz Wysłouch	37
Trzydzieści lat wspólnej przygody	Tomasz Kowalik	38
O gustach się nie dyskutuje	Juliusz Wysłouch	40

Na okładce: Zima w Karkonoszach. Fot. Łukasz Łyson

Tradycyjne miejsce przy wigilijnym stole

Dni wydawały się wyjątkowo ciepłe i zachęcały do wędrówki. Końcówka jesieni, w każdej chwili mogły nadejść poduchy zimy. Wybrałem się w góry. Chciałem oderwać się od komputera i zostawić wszystkie troski za sobą, pójść przed siebie nie patrząc gdzie, dokąd oczy poniosą. Nie na darmo Mallory mówił: *W górach wygląda wszystko inaczej*. To prawda, pozwalają spojrzeć na całość z perspektywy, z wysokości, w innym świetle, zobaczyć sens, a może i cel życia. Nie chodzę w góry po to, żeby doznać doświadczenia spoza ciała, czyli OBE (Out of the Body Experience), bo nie ta wysokość. Beskidy to nie Himalaje – pozwalają na inne przeżycia, tak naprawdę tożsame, gdyby się nad tym zastanowić.

Słońce szybko zachodzi o tej porze, powoli zacząłem rozglądać się za jakimś noclegiem. Potrzebny w zasadzie był dach, bo w plecaku miałem śpiwór przystosowany do niskich temperatur. W oddali na wzgórzu stał kościółek, jego białe ściany wabiły. Krajobraz nie ma ram, jest wszędzie. Patrząc odczuwałem jego obecność, fascynująca dał wołała. Zacząłem iść w kierunku bielejącego na horyzoncie kościółka. Jeżeli stoi w tak pięknym miejscu, to w jego pobliżu znajdę na pewno nocleg. Piękne krajobrazy nie zdradzają.

Stałem pod nim po dwóch godzinach marszu, jak pielgrzym. Cisza grała swoją melodię. Furta żeliwna wałała się w wysokiej trawie, drzwi były zamknięte, wzmocnione żelazną sztabą. Smutny widok. Podniosłem głowę ku wieży, z której nagle wyleciały przerażone wrony wpadając prawie jedna na drugą i okropnie kracząc, rozdzierając ciszę. Jakiś drapieżnik, może puszczyk, wygnał je z wieży?

Wzrok mój zatrzymał się na drzwiach, słyszę głos wiatru starającego się coś do mnie powiedzieć.

– Nieczynny od dawna, ksiądz tu już nie przychodzi – ktoś za mną powiedział zmęczonym głosem.

Odwrociłem się. Przede mną stał starszy mężczyzna, biednie, ale starannie ubrany, na głowie miał znozoną czapkę z uszami, spod której wystawały niesforne siwe kosmyki włosów w każdym możliwym kierunku. Ubranie łatanie było grubymi nićmi w zadziwiających różnych kolorach, nawet to nie raziło. Wspierał się na lasce, dziwnie poskręcanej.



– Pomaga przy chodzeniu, amortyzuje jak się opieram, trzeba dbać o stawy, łokieć mniej boli i nadgarstek też. W tym wieku, wie pan, trzeba sobie pomagać.

Zobaczyłem, że się uśmiecha, nie miał prawie zębów. Usłyszałem zbyrkadła, za nim pasło się kilka owiec, w trawie leżał owczarek, również leciwy. – Kto kogo pilnuje? – pomyślałem.

– Zaraz robi się ciemno, ma pan gdzie spać? – zapytał.

– Nie mam, myślałem że w pobliżu kościoła coś znajdę.

– Wsi już nie ma, wyłudniła się, zostałem sam. Nie wiem, jak długo jeszcze. Chodź pan za mną do chałupy. – Odwrócił się i ruszył, przed nim pobekując szły owce, za nim stary owczarek ledwo włączając nogami, a ja za nimi. Zadziwiający orszak.

Mgła wieczorna otulała wszystko, osiadała na nas, na

drzewach, owcach i tym biednym psie. Zza drzew wyłoniła się stara chałupa, kiedyś musiała być ładna, jeszcze dziś takie wrażenie sprawiała. Weszliśmy do środka, gospodarz zapalił świeczkę, raczej już ogarek. Zobaczyłem za listwą rząd świętych obrazów – oleodruków i na szkłe malowanych, w kącie mały ołtarzyk i stare książki religijne nadszarpnięte czasem. Z prawej strony od wejścia w kącie stał duży bielony piec, na którym na resztkach słomy było legowisko, tam sypiał. W palenisku tlił się ogień; schylił się i dołożył szczap świerkowych, zaskwierczały, a ciepłe płomienie rozświetliły izbę. Zaprosił do stołu. Siadł na jednym końcu, mnie posadził na drugim. Na środku stołu świeczka dopalała się do końca, jej promienie odbijały się od świętych obrazów, było swojsko. Wyciągnąłem z plecaka chleb razowy domowego wypieku, on z drewnianego skopka w sieni przyniósł oścypek i zrobił herbatę.

– Sam mieszkam, wszyscy pomarli, może to już będą ostatnie święta?

– Nie będzie tak źle, a na święta ktoś przyjdzie i nie będzie pan sam – pocieszałem go.

– Nikt nie zajrzy, do najbliższej chałupy jest godzina drogi, do sklepu drugie tyle, więc siedzę tu i nie ruszam się niepotrzebnie. Kiedyś jeszcze na niedzielną mszę w kościele schodzili się ludzie, teraz, sam pan widział, kościół zamknięty.

– Nawet na Wigilię nikt nie zajrzy?

– Może zjawi się, jak kiedyś jakiś pustelnik?

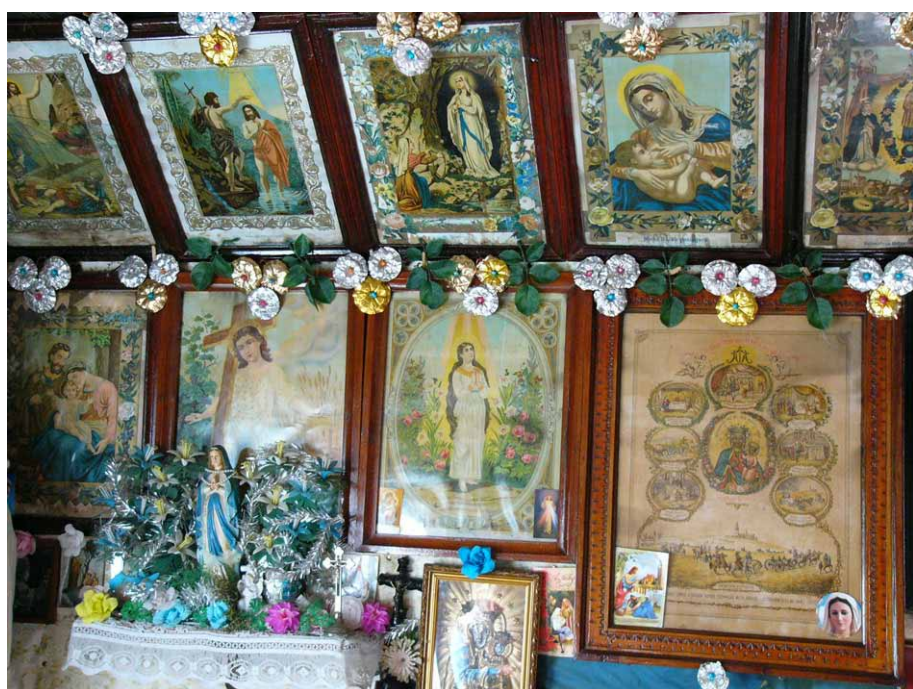
– Kto? – Zapadła cisza, nic nie mówił, spojrzał mi w oczy i zaczął powoli opowiadać.

– Pierwszą Wigilię, jak pomarła moja baba, zapamiętałem na dobre. Żeby nie być samemu, do izby spędziłem cztery owce i barana, dwie kozy, psa, do sieni konia, który wsadził łeb przez drzwi i patrzył zaciękwiony. Czekaliśmy na narodziny Dzieciątka, wszyscy razem. Przygotowałem stół, tam gdzie pan siedzi położyłem talerz, na nim drugi głęboki, nóż, widelec, nawet łyżeczkę dołożyłem. Usiadłem z jednej strony stołu, z drugiej, jak polska gościnność nakazuje, puste miejsce dla niespodziewanego gościa, dla tych, którzy odeszli na zawsze, dla żywych nieobecnych, dla tych, których kochamy, a nie ma ich przy nas, dla zbłąkanego, niezapowiedzianego, samotnego przybysza, który nie powinien w takim dniu być sam. Matka mi zawsze powtarzała ubierając stół, że należy takiego przybysza przyjąć, posadzić przy wigilijnym stole, traktować na równi z członkami rodziny. Ugotowałem zupę grzybową. Zbierałem przez lato borowiki, podgrzybki, koźlarze, rosły niedaleko domu, wykręcałem je tak żeby nie uszkodzić grzybni, suszyłem i odkładałem w płócienną torbie, tak

żona robiła. Zalałem je zimną wodą ze źródła, moczyły się cały dzień, potem pokroiłem i gotowałem w tej wodzie do miękkości, dokroiłem warzyw, które na zimę zakopcowałem. Z jajka i mąki utarłem lane ciasto, małą łyżeczką mieszając wlałem do gotującej się zupy, dodałem śmietanę, doprawiłem solą, pieprzem i posypałem pietruszką, która rosła mi w doniczce na oknie. Zupa była gotowa. Przygotowałem też rybę – powiedział dumnie. – Skąd ją miałem? Za chałupą płynie potok, w którym żyją strzeble. Wie pan, to takie małe rybki, największe osiągają nawet



15 cm, bardzo płochliwe. Latem z faszyny wykonałem przegrodę, zrobiła się bania, w której zaczęły się rybki gromadzić, co jakiś czas je dokarmałem. Na Wigilię sakiem wyłowilem, wypatroszyłem, oczyściłem i usmażyłem kładąc na ruszcie, posmarowałem masłem, posoliłem, wycisnąłem sok z cytryny, posypałem zieloną pietruszką z okna. Wigilia była gotowa, skromna, a jakże, ale dla mnie bogata. Na stole obok świeczki leżał opłatek, pod powalą powiesiłem gałązki smreka, ozdobiłem je czym miałem. Usiadłem, przede mną puste miejsce przy stole, zwierzęta podniosły głowy i patrzyły na mnie, czekaliśmy w skupieniu na pierwszą gwiazdkę. Za oknem



wiatr rozmawiał po swojemu, zawiewał śniegiem na ciepłą szybę i topił się spływając po niej. Nagle pies się poderwał, zaszczekał i rzucił do drzwi, ktoś walił kosturem. Otworzyłem, w drzwiach stał obsypany śniegiem wędrowiec, okutany w burkę baranią prawie do kolan, z kapturem. „Niech będzie pochwalony” – wykrztusił. „Na wieki wieków” – odpowiedziałem i zrobiłem miejsce, żeby mógł wejść do środka. – „Gwiazdka dla mnie zaświeciła, gdy zobaczyłem w tym pustkowiu światło w oknie! Nie będę sam na Wigilię” – zagadnął i spojrział na dwie zastawy na stole i dodał – „Wy gospodarzu, też nie będziecie”. Posadziłem go na pustym miejscu, patrzę, a on ręką ocierał łzy. Wziąłem opłatek, podzieliłem się z nim i z gawiedzią. Odmówiliśmy *Ojcze nasz*, najstarszą i najważniejszą modlitwę chrześcijan, w ciszy zjedliśmy zupę grzybową i usmażone strzeble, każdemu zwierzakowi dałem kawałek chleba. Jadły z ręki. Wydawało się, że je rozumiem, że mówimy tym samym językiem. Cicho zaintonował: *Bóg się rodzi, moc truchleje, Pan niebiosów obnażony. Ogień krzepnie, blask ciemnieje, ma granice Nieskończony. Wzgardzony, okryty chwałą, śmiertelny Król nad wiekami, a Słowo Ciałem się stało i mieszkało między nami* – śpiewaliśmy już razem.



Gdy opowiadał, ja widziałem tę scenę, izbę ustrojoną, zwierzęta wokół stołu, miejsce, które puste już nie było. Ciepło mnie ogarnęło i zasnąłem ze zmęczenia.

Rano obudził mnie huk spadającej belki z dachu. Leżałem na ławie pod oknem, przez duże szpary wiał wiatr, piec rozwalony, cegły z niego wałyły się na podłodze. Chałupa ledwo się trzymała, trzeszczała od podmuchów wiatru, z dachu spadła następna belka. Zerwałem się na równe nogi, porwałem plecak i wybiegłem na dwór. Powoli, na moich oczach się zawałiła.

Zastanawiające, czy wczorajszy wieczór był snem? Zacząłem powoli iść, odwróciłem się, by pożegnać to miejsce. Wśród rozwalonych belek na środku stał nietknięty stół, a na nim talerz, sztucce...

Ryszard M. Remiszewski

0 kaczawskich różach i drogach

W góry mogłem wyjechać dopiero po pracy, na ledwie parę przedwieczornych godzin, jednak zdecydowałem się chcąc zobaczyć nigdy nieoglądane czerwcowe Góry Kaczawskie.

Spiesząc się trochę ryzykownie ciąłem zakręt; droga wśród drzew pięła się w górę, po prawej mignął mi wylot poznanego kiedyś duktu, ale widok ledwie zarejestrowałem kątem oka, skupiony na prowadzeniu szybko jadącego samochodu. Po chwili z głębokiego cienia wpadłem w jasność odkrytej przestrzeni – z lasu w sam środek gór: po prawej dolina, w której rozsiadła się wieś Mysłów, a wokół niej liczne i tak dobrze znane góry ciągnące się aż po niebieskie Karonosze. Kwadrans później zaparkowałem u stóp Dudziarza.

Byłem w moich górach w niezwykłej dla mnie porze kwitnienia róż.

Pierwszy krzew zobaczyłem blisko samochodu, przy drodze, ale otoczony był morzem pokrzyw, jednak wyżej rosła cała ich kępa. Szedłem ku nim, właściwie brodziłem w trawach sięgających mi piersi – rzadkie przeżycie. Trawy utrudniały marsz, ale jednocześnie oszalały zapachami i mnogością kwitnienia drobnych roślinek wśród wysokich źdźbeł;

wydawało się, że po pierś zanurzony idę falującym morzem. Kręciłem się wśród krzewów i traw nie potrafiąc odejść. Ładnie tam było: odkryty stok i dalekie widoki, blisko – wysokie trawy i kilkanaście krzewów różnych. Żadnej drogi, żadnych ludzkich śladów, tylko czerwcem pachnąca cisza i dzikie róże.

Nareszcie udało mi się, po raz pierwszy w życiu, zobaczyć kwitnące rośliny tak jednoznacznie – obok głógów – kojarzące mi się z Górami Kaczawskimi w ich naturalnym dla mnie otoczeniu, właśnie tutaj. Kwitnienie dopiero się zaczynało, na krzewach niewiele było kwiatów, dużo więcej pąków, ale też widziałem kwiaty już przekwitające, gubiące swoje nieliczne płatki. Krótkie jest ich kwitnienie, krótkie gody. Czy olśniły mnie?



Róże i Różanka



Róże i krowy na Dudziarzu

Nie, one mnie ujęły. Rozczuliły delikatnością, krótkim swoim istnieniem, ale też i skromnością, niepozornością tak dobrze widoczną przy ich porównaniu do róż sztucznie wyhodowanych, tych niedzikich.

Dzisiaj wyjątkowo wyraźnie dotarła do mnie niefortunność nazwy. „Dzikość” kaczawskich róż sugerować może niepohamowany wzrost, agresywność, znamiona jakiejś dziwaczności w budowie czy zwyczajach, ale te rośliny nie

mają takich cech. Kolce? To tylko pasywna obrona. Jeśliby uznać, iż to, co naturalne, odwieczne, samoistnie ukształtowane, jest normą, prawidłem oceny, wtedy te piękne, wielkie, pysznie kwitnące róże z przydomowych ogródków należałoby nazwać dzikimi – a nie te, przy których stałem na Dudziarzu.

W końcu oderwałem się od różanych krzewów i poszedłem dalej.

Przejawiam pewną formę niecierpliwości, może zachłanności, a może po prostu niezdecydowania, nie wiem. Dość, że ta cecha goni mnie dalej i dalej, nie pozwala zakończyć wędrówki w pierwszym ładnym miejscu – może w nadziei na zobaczenie miejsc i widoków jeszcze ładniejszych, przeżyć silniejszych.

Nie poszedłem na wschód, w stronę Gaika, jak dwa tygodnie temu, a w przeciwną stronę, ponieważ na ogrodzonych łąkach tamtej części stoku wypasano bydło. Kiedyś na stoku Skrzycznego w Beskidzie Śląskim widziałem domek na płozach, mieszkanie góralskich pastuchów owiec. Zajrzałem do wnętrza, warunki życia w nim nie były lekkie. Dzisiaj zobaczyłem większy domek na kołach, a na ścianie znamię czasu: baterię słoneczną wytwarzającą prąd.

Na południowo-zachodnich zboczach Dudziarza odkryłem urocze miejsca: niewielkie dolinki oddzielone wstęgami drzew, strumień, na pół zapomniane dróżki pnące się po zboczach ku ścianie lasów i róże, mnóstwo róż. Na sporym obszarze krzewy rosną jeden przy drugim, ledwie przejścia się znajduje między nimi; prawdziwy różany las. Widać je na googlowskim [zdjęciu satelitarnym](#).

Tam spełniło się moje drugie marzenie: leżenia w trawie pod kwitnącym krzewem różanym. Mrówek ani much nie było, trawa miękka, niebo nade mną (co prawda zachmurzone, ale niebo, nie brudny sufit warsztatu w firmie) i temperatura tak niezwykła dla mnie, zimowego włóczęgi.

Ludzie gonią coś całe życie (a wśród nich i ja), spieszą się gdzieś, uparcie dążą do osiągnięcia dobrobytu, pozycji społecznej, do wywyższenia się ponad innych – nierzadko w wielkim trudzie i ponosząc duże koszty, obrastając przy tym coraz droższymi i coraz mniej potrzebnymi rzeczami. Jakże często na tej drodze popełniają czyny niemoralne szkodząc sobie i innym. Po co to wszystko? – myślałem leżąc w trawie. Jej żdźbła nachylały się ku mnie, nade mną widziałem dwie róże, były bladoróżowe, prawie białe, a gdy przekręciłem głowę, między żdźbłami traw widziałem niezapominajki.

Z góry, a może z tych róż nade mną, spłynął na mnie spokój, ostatnio rzadki u mnie gość.

Dnem dolinki biegła droga, nieco wyżej chowająca się wśród drzew, ale wiedziałem, że za tym niewielkim zagajnikiem znowu wybiegnie łagodnymi zakolami na otwarte przestrzenie.

Polna i leśna dróżka mają dla mnie cechy osobowe, a gdy brakuje mi wędrówek, gdy jestem na głodzie, bywa, że wprost kobiece. Wtedy ich meandry stają się uśmiechem, zniknięcie na zakręcie pod lasem – zalotnym spojrzeniem przez ramię, dotknięcie nieba na horyzoncie – obietnicami kochanki: *Chodź, zaprowadzę cię za horyzont. Sprawię, że nigdy nie będziesz miał mnie dość. Dam ci jednoczesne spełnienie i wieczne spełnienia pragnienie. U celu będziesz i na początku swojej drogi* – szepcze droga. Nie, oczywiście, że nie szepcze, ale... słyszę ją. Ona woła mnie. Wstałem spod różanego krzewu i poszedłem ku niej w nadziei usłyszenia jej radosnego śmiechu.

Błotnista lub piaszczysta, niknąca we mgle lub na odległym horyzoncie, przecinająca rozległy przestwór pól lub szukająca dla siebie miejsca między drzewami lasu, prosto zmierzająca do siebie tylko znanego celu lub niezdecydowanie meandrująca, rozpalona letnim słońcem lub skuta zimowym mrozem, pod słońcem lub zwałami sinych chmur, wśród polnych kwiatów lub burych resztek zeszłorocznego kwitnienia – droga zawsze ma to „coś”, czym przyciąga mnie do siebie.

Dla spędzenia na zboczach Dudziarza raptem trzech godzin przejechałem ponad 300 kilometrów, ale wracałem zadowolony. Szedłem drogą, widziałem letnie oblicze moich gór i kwitnące róże.

Krzysztof Gdula



Różane zbocze i Sokoliki

Břidličná – miasteczko w Niskim Jesioniku

Opodal Rýmařova leży liczące ponad 3000 mieszkańców tytułowe miasteczko. Polskim turystom, którzy znają czeski Frýdlant na Pogórzu Izerskim (czeska nazwa: Frýdlantská pahorkatina) warto nadmienić, że w przeszłości nosiło ono m.in. nazwę Frýdlant nad Moravicí. W książce „Nizký Jeseník a přilehle oblasti” z 1958 r., której autorem jest Jaroslav Vlach, przy opisie tego miasta przeczytamy m.in.: *Dřívější název byl Frýdlant nad Moravicí*. Obecna nazwa miasta może się kojarzyć z czeskim słowem „břidlice”, co znaczy łupek. Gdzie go więc można zobaczyć? Wystarczy przejść się ok. 1 km od przystanku kolejowego Břidličná zastávka, rozpoczynającym się tam szlakiem żółtym, w kierunku „NA JEZÍRKÁCH” i już na własne oczy można ujrzeć wychodnie łupków. Niektóre widać zza ogrodzenia, nieco dalej od leśnej drogi, którą wiedzie ów szlak. Inne minąć można przy drodze. Na wspomnianym ogrodzeniu piechur przeczyta taki oto napis: *MŮ BŘIDLIČNÁ POD POKUTOU ZÁKAZ TĚŽBY A SBĚRU BŘIDLICE!*. Wydobywanie i zbieranie łupków jest więc zakazane. Popatrzyć na nie jednak warto.

Idąc ww. żółtym szlakiem trzeba pooglądać jednak nie tylko łupki. Nieco wyżej, na jednej z plansz informacyjnych wzrok przyciąga fotografia znajdującego się obok zbiornika podpisanego tam jako Břidlicové jezírko. Trudno porównywać go z karkonoskim Małym Stawem czy tatrzańskim Morskim Okiem, ale i on ma swój urok. I właściwie obok wspomnianej planszy najlepiej zawrócić na opisywanym szlaku i udać się nim w dół, w stronę centrum Břidličnéj. Turyście, który chciałby jednak powędrować tą trasą dalej do góry, warto w tym miejscu dodać, że po chwili marszu z wygodnej leśnej drogi robi się ścieżka. Ta wkrótce

zanika – dalej trzeba więc iść w zaroślach. Latem naprawdę okazałych – niektórym sięgną po pas, innym może wyżej. Można tu nabyć nieproszzonego kleszcza, a i na ewentualną żmiję zygzakowatą też trzeba uważać w takich okolicznościach przyrody. Gdzie dowędruje się w zamian za kroczenie wśród takiej zieleni? Np. na urokliwy otwarty teren pokryty łąkami. Tam na szlakowskazie wędrowiec przeczyta m.in.: *NAUČNÁ STEZKA JEZÍRKA SMĚR RYŽOVIŠTĚ NEZNAČENO*. Z tego, co widać z rejonu szlakowskazu, dalszy etap trasy wie- dzie po prostu przez łąki, gęsto zarośnięte latem.

Żółty szlak to jednak nie jedyne godne zobaczenia miejsce w Břidličnéj. Zainteresowanym architekturą polecieć warto nie tylko wizytę w centrum miasteczka. Miłośnikom budowli jadącym do tytułowego miasta pociągiem linią łączącą węzłową stację Valšov z miastem Rýmařov, rzuci się w oczy budynek stacji kolejowej Břidličná. W mojej ocenie niezwykle urokliwy. Na stacji tej nie warto jednak wysiadać, jeżeli planujemy zwiedzanie centrum miasta. Bowiem najbliżej doń podróżującym koleją z wymienionego już przystanku Břidličná zastávka.

Część centrum miasteczka położona jest malowniczo na niewielkim, choć wyraźnym wzniesieniu. Dominantą tego fragmentu Břidličnéj są dwie świątynie. Jedna z nich to kościół pw. Świętego Ducha. Pocho- dząca z 1911 r. budowla z daleka przyciąga wzrok przeważającym w elewacji kolorem pastelowożółtym. Ko- ściół ten stoi praktycznie na skraju Náměstí Svobody. Na náměstí (czyli rynku) gwarno na co dzień nie jest. Wręcz przeciwnie – jest urokliwie cicho. Miłośnicy miejsc, gdzie nie ma tłumy ludzi na pewno to docenią. No



Szlakowskaz na przystanku kolejowym Břidličná zastávka

a w dodatku plac rynkowy sam w sobie jest niezwykle malowniczy. Niewysokie budynki posadowione są na nieco pochyłym terenie. Na skwerku znajdującym się bardziej w środku placu zobaczyć można m.in. barokową figurę św. Jana Nepomucena datowaną na drugą połowę XVIII w. Zza niektórych domów widać zaś okoliczne niskojesionickie wzniesienia. Prawda, że brzmi zachęcająco do wizyty w tym miejscu?

Drugą świątynią dominującą w panoramie centrum miasteczka jest kościół pw. Trzech Króli. Dużo starszy od poprzedniego, bo datowany na drugą połowę XVI w.

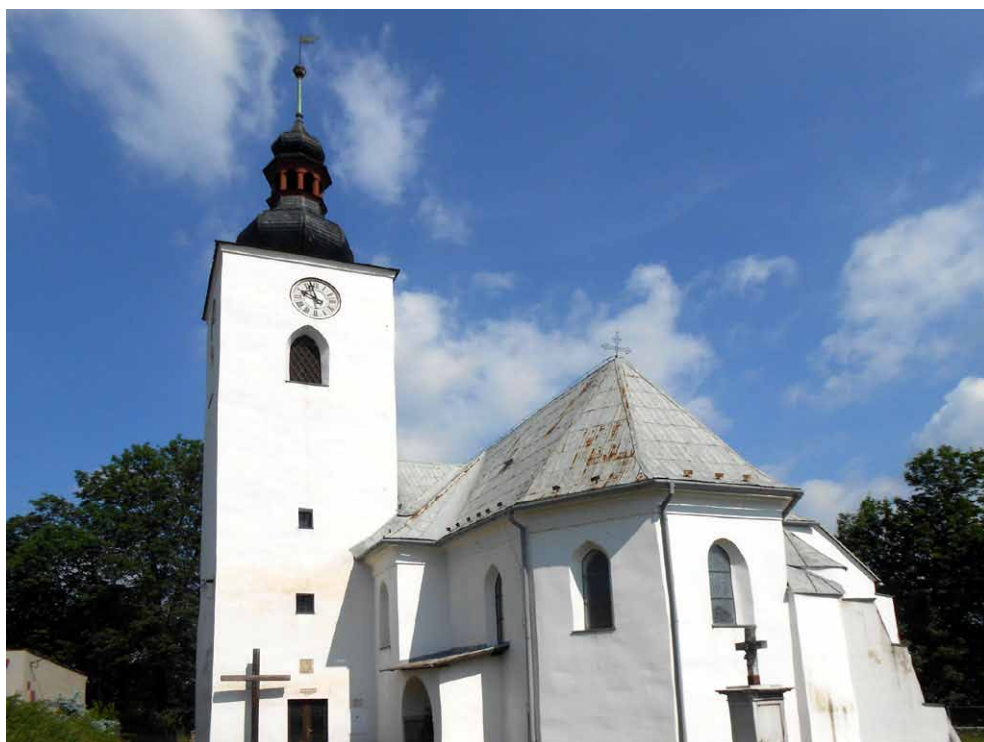
Wyżej opisana część centrum miasta godna polecenia jest jednak nie tylko pasjonatom architektury. Także miłośnicy wyższych partii gór powinni tu zawitać. W jakim celu? M.in. po to, aby na własne oczy zobaczyć wyłaniający się zza kilkukondygnacyjnego bloku mieszkalnego fragment majestatycznego Wysokiego Jesionika. Ten ostatni znacznie okazalej prezentuje się ze wspomnianego szlaku żółtego. I to zaledwie kilkaset metrów od jego początku przy przystanku kolejowym Břidličná zastávka w kierunku opisanym wcześniej.

Wszystko, o czym napisałem powyżej, jest tylko fragmentem tego, co można tu zobaczyć. Ciekawych miejsc w granicach samego miasta i w jego okolicy znajdziemy więcej.

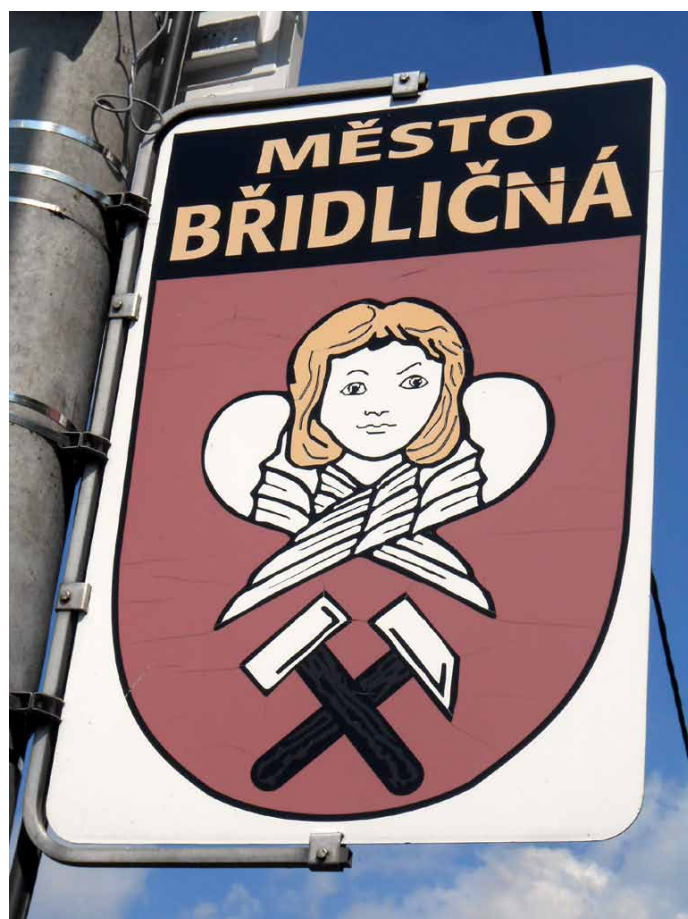
Podróżując czy to do nieodległego, bardziej znanego Rýmařova, czy też w Wysoki Jesionik, warto zrobić choć krótki postój w Břidličnej, aby bliżej poznać to piękne, choć dość mało znane turystom miasteczko.

Bartosz Skowroński

Herb miasta Břidličná wiszący przy drodze na skraju miejscowości



Kościół pw. Trzech Króli



NA SZLAKU

www.na-szlaku.net

**Polub nas
na Facebooku!**

Trohaniec – kolejny zaginiony szczyt do Korony Gór Polski?

Kraczonik, o którym pisałem w 313 numerze „Na Szlaku” (lipiec 2016) okazuje się nie jedynym „zaginionym” szczytem do Korony Gór Polski. Kolejny szczyt, który może do tego miana aspirować, to Trohaniec leżący w paśmie górskim określanym jako Góry Sanocko-Turczańskie.

Wedle regionalizacji fizyczno-geograficznej Polski autorstwa Jerzego Kondrackiego, Góry Sanocko-Turczańskie należą do Zewnętrznych Karpat Wschodnich.

Góry Sanocko-Turczańskie położone są na terenie Polski i Ukrainy. Rozciągają się na powierzchni około 930 km². Na południu graniczą z Bieszczadami Zachodnimi – granicą jest tu dolina górnego Sanu. Na zachodzie graniczą z Pogórzem Bukowskim, na północy z Pogórzem Przemyskim i Płaskowyżem Chyrowskim. Wreszcie na wschodzie sąsiadują z Beskidami Brzeżnymi i Bieszczadami Wschodnimi.

Niejednokrotnie Góry Sanocko-Turczańskie były i są mylnie uważane za część znanych wszystkim sąsiednich Bieszczadów (Zachodnich).

Za najwyższy szczyt Gór Sanocko-Turczańskich uchodzi na terenie Polski Trohaniec liczący 939 m n.p.m. Wprawdzie na sam szczyt nie prowadzi szlak PTTK (co ma być jednym z kryteriów pomysłodawców Korony Gór Polski), ale wędrując z Lutowisk zielonym szlakiem do Chaty Socjologa możemy odbić w lewo i kierując się ścieżką przyrodniczą, również w kolorze zielonym, dotrzemy niebawem na szczyt. W ten oto sposób naszym łupem paść może Trohaniec.

Wytrawni turyści z pewnością nie pogardzą tym szczytem i pokuszą się o jego zdobycie. Góry Sanocko-Turczańskie zapraszają.



Sebastian Jakobsch

Szczyt Trohańca zimą. Fot. pl.wikipedia.org

Jak Orłowicz chciał ulepszać Zakopane

W ciągu ponad 55 lat życie Mieczysława Orłowicza wypełniała turystyka. Swoisty rekord, ale niezdmienający, gdyż był Orłowicz pierwszym polskim urzędnikiem państwowym zajmującym się turystyką. W licznych pracach na tym stanowisku (a był jeszcze bardzo aktywnym działaczem towarzystw tzw. turystyki czynnej) wspomagało go wiele osób, ale też liczni wykpiwali jego styl życia, entuzjazm, idealistyczne i racjonalne poczynania na skalę państwową.

Zmagał się przez lata z biurokracją, skostniałymi obyczajami, krótkowzrocznością. Zadziwiał przyjaciół i zwierzchników, wielu z nich przerastał wiedzą i wizjami, których celem było uczynienie z turystyki dziedziny nie tylko kultury społecznej, ale i gospodarki narodowej. Stanowisko w referacie turystyki i sportu, podlegającym Departamentowi Robót Publicznych w Ministerstwie Robót Publicznych, objął 30 czerwca 1919 r. i przez pierwsze 10 lat zajmował je samodzielnie. Był niewątpliwie pierwszym, który z rozmachem sformułował państwowy program rozwoju podległych mu dziedzin. Opublikował swój program i wskazał konieczne kierunki działania w skali państwa w artykule-memoriale „Organizacja turystyki i sportu w Polsce” w czasopiśmie „Roboty Publiczne” nr 5–6 z 1919 r. Orłowicz ujął w nim zagadnienia wychowania, krajoznawstwa, turystyki, które powinny służyć także rozwojowi gospodarki narodowej, a nawet używał określenia „przemysł turystyczny”.

Warto po wielu latach wspomnieć fragment tego memoriału: *Państwo zaś uważa popieranie i opiekę nad turystyką za wskazane również ze względów politycznych, oświatowych i ekonomicznych [...]. Społeczeństwo polskie rozdarte było dotychczas na trzy części, których mieszkańcy wzajemnie się nie znali, niezbędną jest zatem sprawą rozwijanie ruchu turystyczno-krajoznawczego [...].* Jednym z miejsc i regionów, gdzie taka odnowa i scalanie polskiego społeczeństwa było możliwe, a zarazem atrakcyjne, było Zakopane i Podhale.

Można powiedzieć, że Orłowicz zamierzał i stworzył wiele z niczego, ale poza rozwojem turystyki czynnej w latach 1919–1933. Do 1939 r. nie zdołał spełnić wielu swoich zamierzeń, a burzliwe lata międzywojennego dwudziestolecia nie sprzyjały zachowaniu pełni jego sił twórczych. Należał niewątpliwie do czołowych działaczy turystycznych jako praktyk i wizjoner zarazem, jako pisarz i propagator walorów turystycznych i krajoznawczych Polski. Warto zatem dostrzec jego działania, lecz trzeba pamiętać, że pomimo upływu niemal osiemdziesięciu lat – problemy m.in. Zakopanego nie zostały rozwiązane.

Mieczysław Orłowicz stawiał pytanie, jaka powinna być ta podtatrzańska wieś, a potem miasto, zwane zimową i letnią stolicą kraju. Jak wielu przed nim i po nim, zauroczył się Tatrami. Od wczesnych lat młodości marzył o ich dokładnym zwiedzeniu. Dzięki pomocy rodziców, a potem samodzielnie, poznawał te góry w czasie wakacji uczniowskich i studenckich, w latach 1898–1905. Jako student, latem 1904 r. znalazł się wśród słuchaczy Wyższych Kursów Wakacyjnych w Zakopanem i był entuzjastycznym uczestnikiem i przewodnikiem wycieczek tatrzańskich wpisanych w program tego swoistego uniwersytetu. W 1905 r., dzięki znajomości Tatr, choć nie było jeszcze znakowanych szlaków turystycznych, został kierownikiem tych wycieczek.

Osobiste związki Orłowicza z Zakopanem nawarstwiały się przez kilka lat podczas wypraw w Tatry. Najbardziej owocne, dzięki jego roli przewodnika, były wycieczki kursowe, zapisane w programie wspomnianego wakacyjnego uniwersytetu w latach 1904 i 1905. Znajomość problemów istotnych dla turystów oraz mieszkańców i osób pełniących ważne role w samorządzie zakopiańskim sprawiła, że brał udział w jego pracach.



Mieczysław Orłowicz

Wspominał, że liczono się z jego zdaniem na wiele tematów dotyczących turystyki i roli ówczesnej wsi w narastającym ruchu turystycznym przed pierwszą wojną światową. Zakopane rozwijało się żywiołowo, bez konsekwentnego planu urbanistycznego, a niespójne interesy inwestorów pozostawały w sprzeczności z interesami stacji klimatycznej (tzw. Kurortu), z jego kształtem i funkcją.

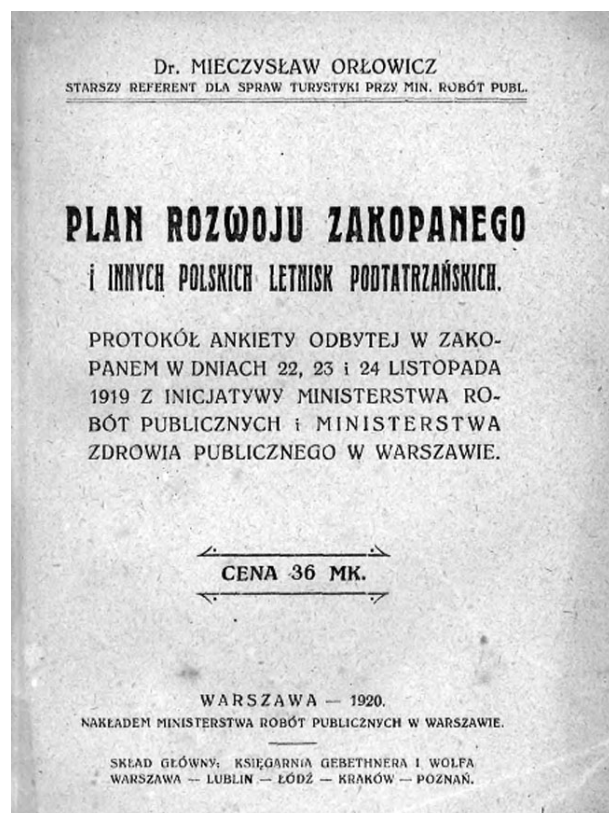
Po kilku latach Orłowicz, jako honorowy prezes Akademickiego Klubu Turystycznego i delegat Krajowego Związku Uzdrowisk we Lwowie, ogłosił 29 października 1912 r., a opublikował nakładem własnym w 1913 r. „Plan rozwoju Zakopanego”. Napisał wówczas memoriał. zaczynający się słowami: *Gór równych Tatrom, ani co do wysokości, ani co do piękności, grozy, majestatu, uroku, dzikości – nie ma na ziemiach polskich. Zakopane – to klucz do nich od polskiej strony, miejscowość utworzona dzięki położeniu swemu na pierwszorzędnej, nie polskiego tylko, ale i europejskiego znaczenia, stację turystyczną sportów zimowych.*

Analizując zamiary samorządu zakopiańskiego, stan urządzeń i wyposażenie Zakopanego oraz to wszystko, co stoi na przeszkodzie, aby miejscowość ta stawała się godna miana stolicy letniej i zimowej turystyki stwierdził, że musi powstać racjonalny plan jej rozwoju. Opracował go i uzyskał aprobatę miejscowych władz dla koniecznych poczynań. Plan obejmował wiele bardzo różnorodnych przedsięwzięć, m.in.: doprowadzenie elektryczności, regulację zabudowy miasta, budowę teatru i nowych ulic, osuszenie mokradeł, sprowadzenie orkiestry na sezon letni, budowę szkoły, schronisk na Hali Gąsienicowej i przy Czarnym Stawie, ścieżek do lasów reglowych i dolin tatrzańskich, a nawet kolejki zębatej na jeden ze szczytów, założenie parku oraz zakładu dezynfekcyjnego i sanatoriów dla chorych pierśsiowo, jak wówczas nazywano chorych na gruźlicę.

Co z tych planów wynikło w praktyce, a co pozostało pobożnymi życzeniami z powodu działania osób odpowiedzialnych za ich realizację, łatwo sprawdzić wertując protokół z kolejnej „ankiety”. Była to w tamtym czasie forma pozyskiwania opinii obywatelskich i tzw. czynników miarodajnych na temat rozmaitych zagadnień. W kolejnej ankiecie, zorganizowanej po odzyskaniu niepodległości w listopadzie 1919 r., poszukiwano odpowiedzi na temat planu rozwoju Zakopanego i innych polskich lotnisk podtatrzańskich. Tym razem Orłowicz wystąpił już jako oficjalny delegat władz państwowych – od pół roku był starszym referentem do spraw turystyki w Ministerstwie Robót Publicznych. Dokument ten ogłosił jako plon debaty publicznej zorganizowanej w Zakopanem 23–24 listopada 1919 r. z inicjatywy tegoż Ministerstwa i Ministerstwa Zdrowia i opublikował w 1920 r.

Orłowicz, jako inicjator zebrania i referent problemu, tym razem zaprosił do współpracy wybitnych tatrznawców. Byli to m.in.: Jan Gwałbert Pawlikowski z Sekcji Ochrony Tatr Towarzystwa Tatrzańskiego, Wojciech Roj – poseł na sejm, już nie galicyjski lecz polski (wybrany w 1919 r.), Józef Żychoń z Towarzystwa Higienicznego z Warszawy (późniejszy promotor lecznictwa sanatoryjnego i Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem), płk. Andrzej Galica – twórca i dowódca Brygady Podhalańskiej Wojska Polskiego), Wojciech Brzega – artysta-rzeźbiarz, pierwszy góral, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, dr Walery Goetel – geolog, przedstawiciel władz Towarzystwa Tatrzańskiego, Borys Wigilew – meteorolog, dr Wiktor Kuźniar z TT (który właśnie wtedy odciał się od urzędu kamieniołomu granitu w Tatrach), a także pisarze Władysław Orkan i Kazimierz Przerwa-Tetmajer, reprezentujący Związek Górali (później Związek Podhalań) oraz Juliusz Zborowski, ówczesny redaktor „Gazety Podhalańskiej” (później wybitny długoletni dyrektor Muzeum Tatrzańskiego).

To znaczne grono pod kierunkiem Orłowicza miało dać odpowiedź na pytania stawiane w 1912 i 1919 roku. Zajmowano się problemem leczenia chorób płuc, systemem kompetencji i działania władz lokalnych, ochrony krajobrazu tatrzańskiego, komunikacji do Tatr i wzdłuż ich łańcucha, turystyką i sportami zimowymi, budową schronisk młodzieżowych. Znając wiele zakopiańskich problemów i zainteresowany ich rozwiązaniem, Orłowicz złożył znamienne oświadczenie: *[...] jak dotychczas, jako człowiek prywatny, tak w przyszłości na*



odpowiedzialnym stanowisku rządowym, wyteżę wszystkie swoje siły dla rozwoju turystyki w Polsce, a specjalnie w Tatrach.

Wypada zadać po wielu latach te same pytania. Czy udało się wówczas na nie odpowiedzieć? Szczegółowe opracowanie przebiegu obrad nad wspomnianą ankietą ukazało się w protokole „Sprawy Tatr. Rozwój Podhala i Zakopanego (ochrona przyrody i turystyka, sprawy komunikacyjne, szkolne, postulaty kulturalne, plan rozwoju Zakopanego i innych letnisk i uzdrowisk w powiecie nowotarskim)”, Zakopane 8–10 marca 1929 r., z inicjatywy Ministerstwa Robót Publicznych (w opracowaniu Stanisława Lenartowicza i Mieczysława Orłowicza, Warszawa 1930 r.).

Niestety, 10 lat później podobne znaczne zgromadzenie zastanawiało się nad rozwojem turystyki tatrzańskiej, rozwojem Podhala i Zakopanego. W tle tego wydarzenia widniała zbliżająca się wielka impreza Międzynarodowej Federacji Narciarskiej (FIS). Podporządkowano jej liczne ważne inwestycje, np. przebudowę skoczni narciarskiej na stoku Krokwi, porządkowanie miasta i jego urządzeń dla spodziewanych licznych gości z zagranicy. Okazało się, że rozwiązanie takich problemów było przez lata mocno utrudnione z powodu sprzeczności interesów, żywołości działań wielu instytucji i organizacji (w tym na odrębne potraktowanie zasługuje polityka i poczynania Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego), braku konsekwencji w realizacji takich zamierzeń, jak planowe zagospodarowanie regionu czy danej miejscowości, a nade wszystko – niedostatku środków finansowych. Zakopane nie stało się wzorem do naśladowania w planowaniu regionalnym. W pracach podejmowanych z racjonalnych pobudek nie starczało sił na realizację wielu pomysłów.

Po upływie kilkudziesięciu lat – pomimo iż od 1912, 1919 i 1929 roku w potokach tatrzańskich upłynęło wiele wody – Zakopane nadal nastroczało wielu problemów, nie do rozwiązania przez jego stałych mieszkańców, na niekorzyść przybywających coraz liczniejszych gości, wabionych mitem regionu, urokiem Tatr, legendą gór, które nie mają sobie równych. Nie wynika z tego bynajmniej, że pretensje z powodu nieskutecznych poczynąń w urządzaniu Zakopanego należy kierować pod adresem jednego człowieka. Wszak i obecnie, pomimo upływu bez mała stu lat (!!!), nad rozwikłaniem przysłowiowego tysiąca problemów bezskutecznie lub z minimalnymi sukcesami trują się setki naukowców, specjalistów, polityków, działaczy samorządowych i urzędnicy mnóstwa instytucji – nie tylko zakopiańskich czy nowotarskich, ale nawet województwa małopolskiego – odpowiedzialnych za planowanie przestrzenne, zagospodarowanie tego miasta i okolic, ochronę jego tożsamości kulturowej.

Godny podkreślenia jest jednak fakt, że Orłowicz był w tej materii pionierem. Podjął się, jako jeden z pierwszych, zadania o unikatowej skali i naturze. Podejście do takich problemów, poszukiwanie metod ich rozwiązania, specyfika zagadnienia, jakim wówczas w praktyce stawała się turystyka – nie tylko w Tatrach – wymagały nowych sposobów działania (i myślenia). Orłowicz proponował kompleksowe podejście do problemu, analizę sytuacji, a następnie harmonijne działanie czynników odpowiedzialnych za rozwiązanie zagadnień szczegółowych. Na tym polegała pionierskość jego działań, którym dodawał rangi jako przedstawicieli władz państwowych. Działal w myśl sformułowań własnego, opracowanego u zarania niepodległości Polski, wspomnianego już memoriału z 1919 r. pod hasłem: „Ruch krajoznawczo-turystyczny jako czynnik wpływający na zniwelowanie różnic i zacieśnienie bliższych stosunków wśród członków polskiego społeczeństwa rozbitego przez zabory”.

Można bez obawy o popęlenie nadinterpretacji działań Orłowicza stwierdzić, że dla niego o wiele bardziej istotne niż wąsko pojmowana gospodarka turystyczna czy utylitarne pojmowanie turystyki jako źródła krociowych dochodów, było sprzyjanie rozwojowi turystyki i krajoznawstwa jako pełnoprawnych dziedzin kultury i obyczajów polskiego społeczeństwa. Rozwijając myśl zawartą w tytule memoriału z 1919 r. Mieczysław Orłowicz powołał w Krakowie w listopadzie tego samego roku Kongres Turystyczny. Był jego organizatorem, sekretarzem i głównym referentem. Zjazd ten i podobne gremia nakreślały gigantyczne programy, jak się okazało – w większości nierealne (to zgromadzenie upominało się m.in. o uporządkowanie rozwoju Zakopanego).

Druga część Kongresu Turystycznego zakończyła się epokowym wydarzeniem: powołaniem Polskiego Komitetu Igrzysk Olimpijskich, z Orłowiczem jako jego sekretarzem. Funkcję tę pełnił do września 1939 r.

Znaczna część problemów rozwojowych Zakopanego (w zmienionej postaci, ale o tej samej istocie rzeczy) jest nadal piętą achillesową tego miasta mieniącego się letnią i zimową stolicą naszego kraju. Zdarzają się ponadto przypadki kuriozalne, będące przykładem swoistej megalomanii, jak np. pomysł zorganizowania zimowych igrzysk olimpijskich czy przewiercenia tunelu pod masywem Czerwonych Wierchów, dla wygody amatora narciarstwa... na południowych stokach Tatr.

Tomasz Kowalik

Finał konkursu „Ochrona przyrody w Polsce”

W piątek 10 listopada 2017 roku w Bukowcu, w siedzibie Związku Gmin Karkonoskich odbył się finał regionalny XXIV Konkursu Biologiczno-Ekologicznego Szkół Gimnazjalnych pod hasłem „Ochrona przyrody w Polsce”. Konkurs zorganizował Zarząd Okręgu Ligii Ochrony Przyrody w Jeleniej Górze z siedzibą w Piechowicach. Przewodniczącym Komitetu Organizacyjnego był prezes ZO LOP w Jeleniej Górze Zdzisław Gasz, a członkami jury – Bożena Śliwa (przewodnicząca), Piotr Norko, Magdalena Żuchowska i Janina Hładky (sekretarz). Do eliminacji przystąpiło 497 uczniów ze szkół z terenu dawnego województwa jeleniogórskiego. Ostatecznie do finału (III etapu) w Bukowcu dotarło 20 uczniów, z których wyłoniono ośmiu finalistów. Pytania zadawane uczniom dotyczyły zarówno problematyki ochrony przyrody, jak i krajoznawstwa czy wiedzy o otoczeniu, w którym żyjemy. Każdy z uczestników finału musiał odpowiedzieć na 11 pytań, niejednokrotnie bardzo trudnych. Po podliczeniu punktów stwierdzono, że I miejsce zajął Mateusz Hęś z Porajowa, II miejsce Filip Pozauć ze Zgorzelca a III Julia Żądło ze Świerzawy. Wszyscy finaliści, jak i ich opiekunowie, otrzymali stosowne do zajętego miejsca nagrody. Przedsięwzięcie zostało wsparte finansowo przez Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Jeleniej Górze, Nadleśnictwa w Szklarskiej Porębie, Świeradowie i Ruszowie oraz Związek Gmin Karkonoskich (Regionalną Pracownię Krajoznawczą Karkonoszy, która zajęła się organizacją spotkania).

Trzeba dodać, że uczniowie przygotowując się do ostatecznej rozgrywki przybyli do Bukowca dzień wcześniej i nocowali w schronisku młodzieżowym „Skalnik”. Mieli zatem okazję do spacerów po pięknym założeniu parkowym obejmującym tereny otaczające miejscowość. Zwiedzili też Krzeszów i Chełmsko Śląskie, a wieczorem wysłuchali prelekcji Piotra Norko.

Uczestnicy spotkania, oczekując na podsumowanie konkursu, zwiedzili pałac w Bukowcu i poznali historię zarówno obiektu, jak i miejscowości. Mieli okazję sprawdzić dokąd prowadzi tajne – prowadzące przez szafę – przejście łączące piwnice z parterem oraz niemal otarli się o Białą Damę wędrującą po strychowych zakamarkach. Po pałacu oprowadził ich piszący te słowa.

Krzysztof Tęcza



Słowianie

Pisałem o walecznych plemionach Scytów (NS e-132, 10-2017) i Sarmatów (NS e-133, 11-2017). Ich następcami na ziemiach dzisiejszej Polski i Ukrainy stali się Słowianie.

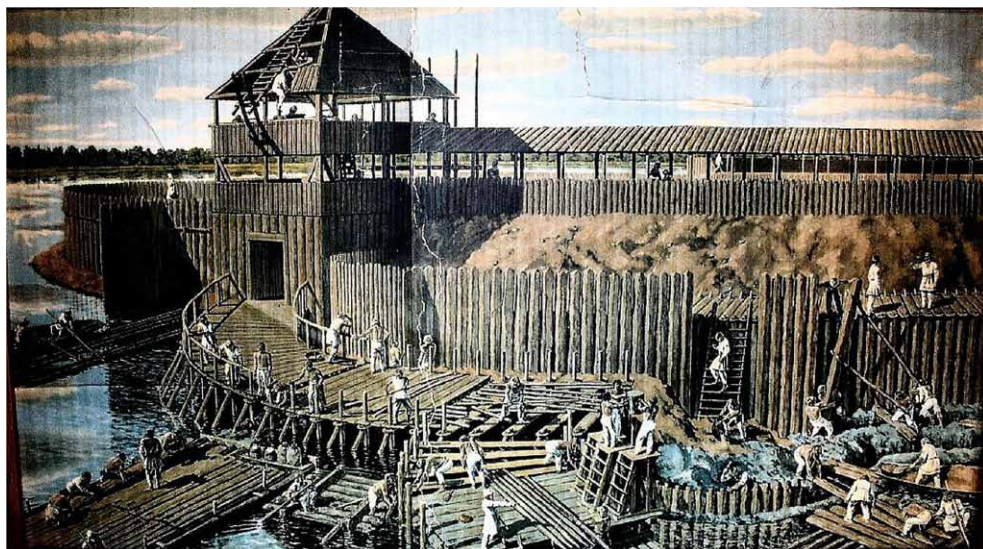
Słowianie, podobnie jak Germanie i Bałtowie, są potomkami plemion kultury ceramiki sznurowej. Plemiona te na przełomie III i II tysiąclecia p.n.e. przybyły z północnego Nadczarnomorza i Podkarpacia do Europy centralnej, północnej i wschodniej. Za protoplastów Słowian uważa się

twórców takich archeologicznych kultur, jak trzciniecka (XV–XIII w. p.n.e.), rozprzestrzeniona między Wisłą i Dnieprem, łuzicka (XIII–IV w. p.n.e.) i pomorska (VI–II w. p.n.e.). Niektórzy archeologowie uważają też za Prasłowian nosicieli kultury czarnoleskiej (VIII–VI w. p.n.e.). Niewątpliwie z przodkami wschodnich Słowian wiąże się kultura zarubiniecka (I w. p.n.e. – I w. n.e.) występująca w średnim Przydnieprowiu, kijowska (I–IV w. n.e.) i czerniachowska (III–V w. n.e.).

Dziś przyjmuje się, że pierwotne siedziby Słowian znajdowały się w dorzeczu górnego Dniepru, na pograniczu z ludami bałtyckimi. Zasiadali oni strefę leśną i lasostepową na prawym brzegu Dniepru, ale roz-

przestrzenili się w dorzeczach Bohu, Dniestru, aż do Prypoci. Część historyków jest jednak zdania, że obszar źródłowy Słowian leżał między Wisłą i Odrą.

Na początku naszej ery Prasłowianie stanowili jeszcze wspólnotę kulturową i językową, ale w wyniku migracji własnych i wędrowek ludów celtyckich, germańskich i sarmackich przez obszar między Wisłą i Dnieprem, ulegli rozbiciu na grupę zachodnią (Wenedów) i wschodnią (Antów). W VI w. w rezultacie wędrowek ukształtowała się na Bałkanach południowa grupa Słowian. W VI–VIII w. Słowianie żyli już w Europie wschodniej,



Budowa słowiańskiej twierdzy na wyspie w X w.



Chaty słowiańskie i łódka – rekonstrukcja

środkowej i południowej. Na zachodzie graniczyli z Frankonią i Italią, na północy walczyli z Wikingami, Jaćwingami i Mordwinami. Sprzymierzeni z Awarami napadali na ludność terenów przygranicznych. Po zdobyciu łupów wycofywali się na swoje tereny. Po takich wyprawach odbywała się powolna migracja osiedleńcza plemion słowiańskich. W ten sposób, idąc znad środkowego Dunaju w VI w. zajęli Morawy i Czechy, a w VII w. – tereny między Odrą i Łabą. Słowianie na tych obszarach współzamieszkiwali z ludnością prowincji rzymskich, także z Germanami i Hunami. Od miejscowych ludów Słowianie przejmowali niektóre zwyczaje, np. w VII w. zrezygnowali

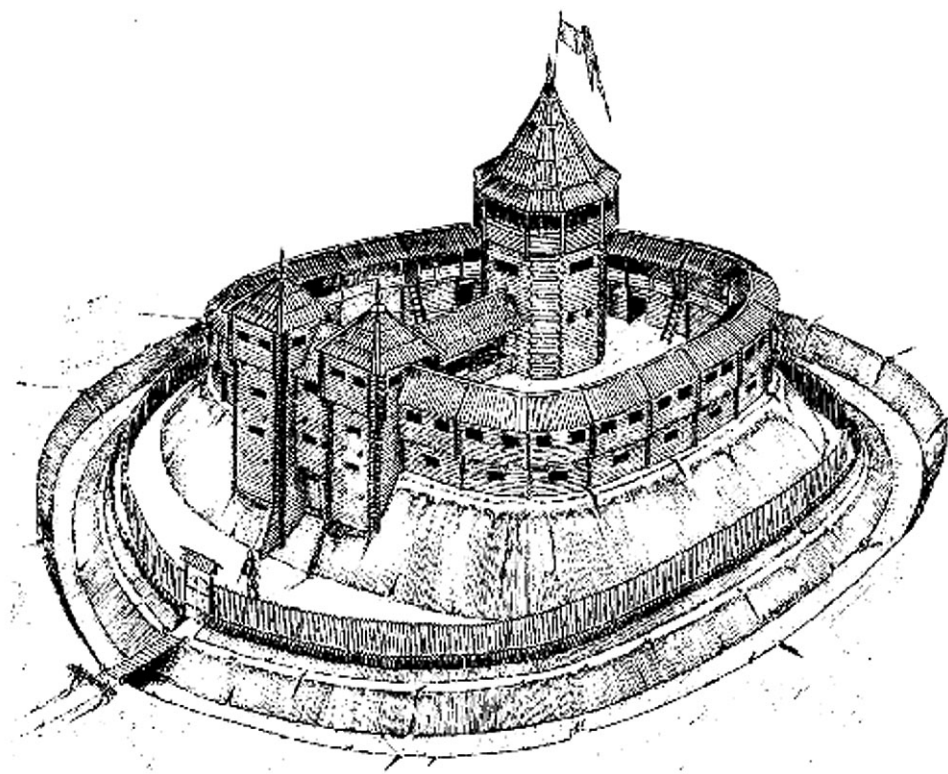
z całopalenia w obrządku pogrzebowym na rzecz pochówków szkieletowych. Ale z drugiej strony wystarczyło sto lat, by na zajętych obszarach narzucili swoją słowiańską kulturę i swój język. Był to efekt znacznego wzrostu demograficznego i dobrobytu, dzięki dobrym plonom wskutek przechodzenia z uprawy wypaleniskowej do przemienno-odłogowej. Plemiona słowiańskie były niemal całkowicie samowystarczalne gospodarczo.

Ludność budowała ziemianki z dużym glinianym piecem, a osady lokowała wzdłuż rzek. Rodziny tworzyły ród, a rody – plemię. Uprawiano proso, żyto, pszenicę, jęczmień, rzepę, kapustę. Hodowano bydło, świnie, owce. Istniało myślistwo, rybołówstwo, bartnictwo i zbieractwo. Rozwinęło się tkactwo, garncarstwo (po początkowo bez koła garncarskiego) i kowalstwo.

Ustrój społeczny Słowian w okresie rzymskim miał formę demokracji wojennej, ze wspólnotami rodzowymi, później terytorialnymi, w których najwyższa władza należała do zgromadzenia. Sprawy plemienne załatwiano na wiecach. Wybierano żupanów i władcyków oraz dowódców wojskowych: wojewodów, czelników

i kneziów. Później wzrosło znaczenie wodzów i ukształtowały się stosunki wczesnofeudalne. Źródła rzymskie podkreślają surowość obyczajów słowiańskich, waleczność drużyn wojowników, ale i gościnność ludu.

Słowianie wierzyli w bóstwa wyższe (Perun, Strzybog, Wołos, Swaróg, Daćbóg), bóstwa niższe (duchy lasu, pola, wody, domu – np. rusalki, strzygi, skrzaty) i demony. Bogów czczono w świętych gajach, na wzgórzach. Obrzędy łącono z cyklem rolniczym, co zachowało się w zwyczajach ludowych (np.



Gródek słowiański



Słowiańska twierdza

Noc Kupały). Wyposażanie grobów w jadło i przedmioty codziennego użytku świadczy o wierzeniach w byt pozagrobowy. Odrębny stan kapłański wytworzył się dość późno, a budowę świątyń stwierdzono tylko u Słowian na Pomorzu. Budując je, politeistyczni kapłani wzorowali się chyba na zachodnich chrześcijańskich sąsiadach.

Grecki autor dzieła „Strategikon”, zwany Pseudo-Maurycym, w VI w. pisał o Sklawach i Antach, że mieszkają w lasach i wśród bagien, żywią się prosem i napadają na swoich wrogów. Historyk bizantyjski Prokop z Cezarei w VI w. w swojej „Historii wojen” pisał o barbarzyńskim języku Słowian (Sklabenoi), o oddawaniu czci bogu błyskawic, o ich ustroju ludowładczym. Gocki historyk Jordanes (VI w.) w dziele „Getica” pisał o ludach zwanych Antami i Sklawenami, którzy kiedyś nazywali się Wenedami, a żyją nad rzeką Wiskla (Wisła).

Już w VII w. Słowianie tworzyli państwa: Państwo Samona na Morawach, Karantania na terenie dzisiejszej Austrii, Bułgaria założona przez Protobułgarów, którzy ulegli sławizacji. W następnych wiekach powstały: Sławonia, Chorwacja, Księstwo Nitrzańskie, Państwo Wielkomorawskie, Księstwo Wiślan (IX w.) z Krakowem. Pierwszym organizmem państwowym Słowian wschodnich była Ruś Kijowska (IX w.), zlokalizowana na terenach Antów (początki Kijowa sięgają VI w.). Na obszarze dzisiejszej Polski żyły plemiona słowiańskie: Wiślanie, Polanie, Mazowszanie, Goplanie, Łędzianie, Ślężanie, Pomorzanie i inne.

Po VIII w. ekspansja Germanów spowodowała asymilację ludności słowiańskiej między Łabą i Odrą, z wyjątkiem Serbołużyczan. Najazdy Węgrów i Mołdawian doprowadziły do zaniku Słowian na terenach Węgier i Rumunii. Podobnie Słowianie, którzy dotarli na Półwysep Bałkański, zostali stamtąd wyparci przez Greków. Inny los spotkał Słowian wschodnich, którzy wypierani od XIII w. przez Mongołów z terenów dzisiejszej Ukrainy, szli na północ i wschód, sami sławizując ludność fińską i wołańską, a od XVI w. zajmując ogromne obszary przed i za Uralem.

Od VI do XII w. z języka prasłowiańskiego powstały języki: zachodniosłowiańskie (polski, czeski, słowacki, serbołużycki), wschodniosłowiańskie (rosyjski, ukraiński, później białoruski) i południowsłowiańskie (bułgarski, serbsko-chorwacki, słoweński, bośniacki, macedoński, czarnogórski). Później powstały narody, które dziś mają własne państwa, poza Serbołużyczanami, korzystającymi z autonomii w Niemczech.



Słowiańskie magiczne obrzędy



Sierygiej Iwanow, „Życie codzienne Słowian wschodnich”

Janusz Fuksa

W dzikich ostępach Rezerwatu Żebracze

Polecam całodzienną trasę w okolicy Szczawnika w Beskidzie Sądeckim. Jako miejsce startu wybrałem bacówkę PTTK nad Wierchomlą, ale równie dobrze może to być Szczawnik. Bacówka jest miejscem, które odwiedzamy wędrując Pasmem Jaworzyny. Jeśli zatrzymamy się w niej na dwa-trzy dni, możemy wykorzystać ją jako bazę wypadową do wycieczek „na lekko”. Trasę takiej właśnie wycieczki chcę przedstawić. Według wszelkich danych z map i przewodników, przejście netto



Tatry z Wyżnich Młaków

to zajmuje 6 godzin i wynosi 18,1 km. Trasa jest długa i nie sposób pokonać jej bez przystanków, dlatego trzeba doliczyć trochę czasu na odpoczniki i, krótki chociaż, spacer po Szczawniku, a nawet wizytę w sklepie. Dodam, że różnica poziomów między najniższym a najwyższym punktem trasy, czyli Szczawnikiem (560 m) a Pustą Wielką (1060 m) wynosi 500 metrów. Trasa, choć długa, nie jest specjalnie uciążliwa, ponieważ największą różnicę poziomów pokonuje się w dół, zaś podejścia nie są nadmiernie wymagające. W praktyce wycieczka zajmuje 7–8 godzin.

Ruszamy zatem z bacówki nad Wierchomlą grzbietowym szlakiem (znaki niebieskie) w kierunku Pustej Wielkiej. Ta góra króluje w krajobrazie nad Żegiestowem, Szczawnikiem i Wierchomlą, położona jest niemal centralnie między tymi miejscowościami. W pogodny dzień ze szlaku, którym idziemy, możemy podziwiać nie tylko Beskid Sądecki, ale także Tatry. Pusta Wielka jest cały czas przed nami, widać jej ciemny, za-



Pusta Wielka

lesiony wierzchołek. Idziemy niemal poziomo grzbietem, po drodze lekkie obniżenia i także podejścia. Mijamy górną stację wyciągu kanapowego z Wierchomli Małej. Patrząc na południowy zachód podziwiamy Tatry, bardziej ku zachodowi widać sąsiednie Pasma Radziejowej. Po drodze spotykamy znaki informacyjne kierujące narciarzy na trasy zjazdowe w stronę Wierchomli oraz jeszcze dwa wyciągi ośrodka narciarskiego. Na hali poniżej grzbietu najpewniej zobaczymy pasące się owce. Jeśli podejść wyżej, nie

zbliżamy się do nich, gdyż czujne owczarki bardzo tego nie lubią. Potrafią otoczyć intruza i zatrzymać go, dopóki nie zostaną odwołane przez juhasa lub bacę, przy czym nie ma pewności, że ów znajduje się w zasięgu wzroku, zatem czekanie na pomoc może potrwać dość długo. Samodzielna próba wyrwania się z „okrążenia” może spowodować pieski (a są duże) do interwencji. Zwykle ostrzegają pokazując imponujące uzębienie.

Po ok. 50 minutach jesteśmy w miejscu zwanym Wyżnie Młaki. Stąd odchodzi w lewo do Szczawnika żółty szlak. Wkrótce kończy się odkryty teren i skręcamy w prawo w las, na zbocze Pustej Wielkiej.

Podejście jest łagodne, w pobliżu wierzchołka Pustej dojdziemy w 35–40 minut. Węzeł szlaków znajduje się poniżej spłaszczonego wierzchołka, podczas gęstej mgły teren jest mało przyjazny, a każdy ślad ścieżki może się wydawać szlakiem. Na wierzchołek prowadzi ścieżka w prawo od węzła szlaków. Idzie się nią kilka minut. Warto tam przysiąść na chwilę i odpocząć lub... zajrzeć w dół za grzbiet, gdzie zobaczymy długą skalną grzędę i dość strome zbocze opadające ku północy. Górą wzdłuż grzbietu biegnie wątła ścieżynka doprowadzająca do tablicy informacyjnej z wiadomościami o skałkach na Pustej. Można obejść skałki od dołu i dokładnie je obejrzeć.

Po wizycie na wierzchołku wracamy do węzła szlaków i rozpoczynamy zejście, dalej korzystając ze szlaku niebieskiego. Szlak prowadzi do Żegiestowa miejscami obniżając się dość ostro, idziemy nim do granicy lasu, gdzie po skręcie w lewo spotkamy białoczerwone znaki gminnego szlaku turystycznego. Po drodze trzykrotnie przecinamy dobrze utrzymaną stokówkę. Odcinek od wierzchołka do spotkania szlaku białoczerwonego zajmuje pół godziny. Wychodzimy na otwarty płaski teren – jest to miejsce dawnej osady Pod Górką (o czym dowiadujemy się z tablicy przy kapliczce), dobre na odpoczynek przed marszem do Szczawnika. Od tej chwili

idziemy niemal poziomo tylko lekko się obniżając, z krótkim zejściem bezpośrednio przed Szczawnikiem. Kilka minut przed zabudowaniami spotkamy odejście żółtego szlaku do bacówki nad Wierchomlą wiodącego grzbietem przez ośrodek narciarski i Wyżnie Młaki. W razie niepogody można, nie schodząc do Szczawnika, wrócić nim do bacówki. Podejście zajmuje ok. 2,5–3 godziny. Od spotkania żółtego szlaku do szosy w Szczawniku zostało jeszcze 500 m. Po zejściu otwiera się jeszcze jedna możliwość skrócenia trasy w razie



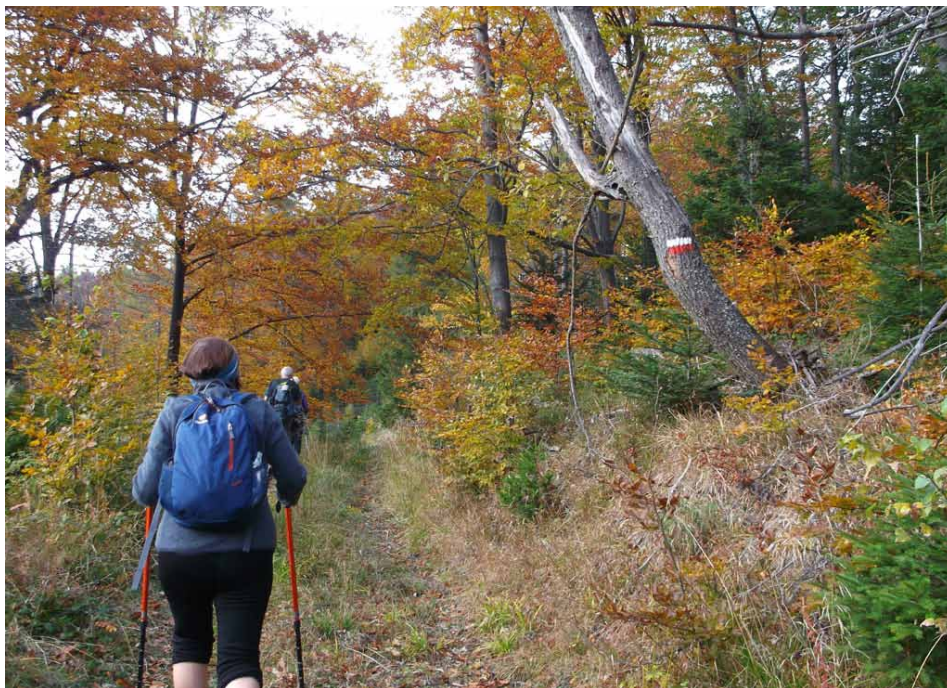
Skały na Pustej Wielkiej



Przez potok w drodze do Szczawnika

niepogody, zmęczenia czy innej sytuacji tego wymagającej. Można szosą, a dalej dobrą szutrową drogą, pójść do bacówki, co zajmie nieco ponad 2 godziny. Podejście jest bardzo łatwe i łagodne, wręcz spacerowe.

Jesteśmy w Szczawniku, na początku jego górnej części stanowiącej zaplecze noclegowe dla narciarzy korzystających z urządzeń i tras zjazdowych Stacji Narciarskiej Dwie Doliny. Spotykamy białe-czarne znaki kolejnego gminnego szlaku, który posłuży w dalszej wędrówce. Zanim to nastąpi, można pójść w prawo przez wieś, by obejrzeć cerkiew św. Dymitra, napić się wody z pobliskiego źródła lub



W drodze przez Rezerwat Żebracze

kupić coś w niedalekim sklepie spożywczo-przemysłowym. Jesteśmy w połowie trasy, przed nami jeszcze 3–4 godziny drogi wspomnianym szlakiem. Coś do zjedzenia i picia przyda się na pewno. Skoro jesteśmy gotowi do dalszej drogi, wracamy do placiku przy kapliczce, skąd kierujemy się w prawo za białe-czarnymi znakami. Zrazu otwartym terenem, później w prawo wądrożem, już pod górę, podchodzimy do granicy lasu. Teraz będzie trochę mocniejsze podejście, a właściwie kilka odcinków podejściowych na przemian z wyplaszczzeniami drogi. Idziemy niemal w linii prostej do miejsca, gdzie towarzyszący z prawej strony potok odejdzie w bok. Teraz nieco bardziej stromo i zakos w lewo, następnie w prawo, dłuższy trawers i dochodzimy do miejsca, gdzie szlak zmienia zasadniczy kierunek z północnego na wschodni. Na zakręcie dobre miejsce na odpoczynek po godzinnym podejściu. Stąd szlak „kładzie się” i idziemy poziomym trawersem do kolejnej zmiany kierunku ku północy, nadal poziomo. Spotykamy białe-czerwone znaki (rozdroże pod Bukową), szlak białe-czarny odchodzi pod górę, prosto na Bukową, gdzie kończy się na głównym grzbiecie Pasma Jaworzyny. My odbijamy w lewo i od tego miejsca będzie już tylko w dół (łagodnie), aż do drogi w dolinie Szczawnika. Szlak przyjmuje ogólny kierunek ku zachodowi, jednak wije się po zboczu. Przejście, choć przez las, nie jest nudne, wręcz przeciwnie – sporo widać po lewej stronie, gdzie mamy wgląd w głęboką dolinę. Wkrótce spotykamy po prawej stronie okazałe skałki wypreparowane zapewne podczas budowy drogi. Przechodzimy przez Rezerwat Żebracze. Oprócz tych przydrożnych skałek można wypatrzyć po prawej stronie, już niedaleko od doliny Szczawnika, spore skały na zboczu. Są one zaznaczone na niektórych mapach. Przejście odcinka od opuszczenia szlaku białe-czarnego do drogi w dolinie Szczawnika zajmuje 45–50 minut. Schodzimy ze szlaku na wspomnianą drogę i idziemy nią wygodnie do bacówki, łagodnie zdobywając wysokość. Do pokonania zostało ledwo 120 m przewyższenia.

Trasę polecam na jesień, na połowę października, gdy lasy stają się bajecznie kolorowe. Druga część trasy wiodąca częściowo przez rezerwat, choć pozbawiona szerokich widoków, to ze względu na kolory i niemal pierwotność lasu jest bardzo przyjemna, zwłaszcza odcinek od rozdroża pod Bukową do doliny Szczawnika. Nie polecam tej trasy na zimę, droga nie jest wtedy używana, nie przeciera jej żaden skuter czy inny pojazd. Przy głębokim śniegu można się skutecznie zamęczyć. Miłośnicy „wyrzypiarstwa” mogą przedłużyć zasadniczą trasę idąc od rozdroża na Bukową i głównym szlakiem (czerwonym – PTTK) przez Runek wrócić do bacówki nad Wierchomlą. Owa „przedłużka” dokłada kolejne 2 godziny marszu, co daje w całości trasę nie mniej niż 10-godzinną.

Jak wspomniałem na początku, miejscem startu może być Szczawnik, jeśli bazujemy tam w którymś z pensjonatów lub hoteli. Wówczas trasa w skrócie wygląda następująco: Szczawnik – rozdroże pod Bukową – dolina Szczawnika – bacówka nad Wierchomlą – Pusta Wielka – Szczawnik. Można też przyjąć odwrotny kierunek. W obu przypadkach można posilić się w bacówce, w połowie trasy.

Juliusz Wyslouch

Dwa stulecia zorganizowanego przewodnictwa w Sudetach

W dniu 18.11.2017 r. odbyło się sympozjum z okazji 200-lecia zorganizowanego przewodnictwa w Sudetach (1817–2017) pod hasłem: „Od tragarzy lektyk do profesjonalnych przewodników”. Wydarzenie miało miejsce w auli jeleniogórskiego Wydziału Ekonomii, Zarządzania i Turystyki Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu. Zostało zorganizowane przez Koło Przewodników Sudeckich (KPS) przy Oddziale PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze i UE we Wrocławiu WEZiT w JG.

Uroczystego otwarcia sympozjum dokonał dr Piotr Gryszel – Prezes Koła Przewodników Sudeckich. Następnie prof. nadzw. UE dr hab. Jacek Potocki (Prezes Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego) wręczył odznakę „Zasłużony Przewodnik PTTK”: Ewie Parfianowicz, Zdzisławowi Gaszowi, Antoniemu Witczakowi, Wiktorowi Gumprechtowi i Zenonowi Kędziornie.

W dalszej kolejności zaproszonych gości powitali: prof. nadzw. UE dr hab. Elżbieta Sobczak (Dziekan Wydziału Ekonomii, Zarządzania i Turystyki Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu); Piotr Paczowski (Zastępca Prezydenta Miasta Jeleniej Góry) oraz dr inż. Andrzej Raj (Dyrektor Karkonoskiego Parku Narodowego). Głos zabrał także Janusz Korzeń (Redaktor Naczelny „Karkonoszy. Czasopisma Sudetów Zachodnich”), który wręczył dr. Piotrowi Gryszelowi okazjonalny rysunek popołniony dzień wcześniej przez Jacka Wilka.

Pierwszą sesję referatową poświęcono historii przewodnictwa. Wystąpienia dotyczyły (w nawiasie nazwisko autora): historii zorganizowanego przewodnictwa w Karkonoszach (dr Piotr Gryszel), materiałów do dziejów przewodnictwa i przewodników w zbiorach jeleniogórskiego oddziału Archiwum Państwowego (mgr Ivo Łaborewicz), przewodnictwa w Polskim Towarzystwie Tatrzańskim w latach 1873–1950 (mgr inż. Jerzy Kapłon), historii przewodnictwa turystycznego w Ząbkowicach Śląskich (mgr inż. Jerzy Organiściak), przewodnictwa turystycznego w Legnicy (mgr Edward Wiśniewski, mgr Marek Rabski), historii Koła Przewodników Sudeckich i Terenowych przy Oddziale PTTK Ziemi Wałbrzyskiej w Wałbrzychu (mgr inż. Stefan Okoniewski).

Podczas drugiej sesji dyskutowano na temat kadr i metodyki pracy przewodnickiej. Referaty traktowały o: wpływie nowych technologii na pracę pilota wycieczek w opinii współczesnego turysty (prof. dr hab. Agnieszka Niezgoda), roli studenckich kół przewodnickich jako organizacji kształcących wykwalifikowane kadry dla turystyki (prof. dr hab. Michał Żemła), kształceniu przewodnickim studentów (prof. dr hab. Jacek Potocki, Prezes ZG PTTK), możliwościach wykorzystania Sektorowej Ramy Kwalifikacji w Turystyce w procesie kształcenia i certyfikowania przewodników turystycznych, pilotów wycieczek i animatorów czasu wolnego (prof. dr hab. Zygmunt Kruczek), geologii w pracy przewodnika (mgr Roksana Knapik), mistyfikacji sudeckich dziejów (mgr Tomasz Miszczyk), wpływie



sharing economy na przewodnictwo na współczesnym rynku turystycznym (mgr Klaudyna Kowalska).

W ramach ostatniej sesji omawiano warsztat wiedzy profesjonalnego przewodnika. Wystąpienia dotyczyły roślin chronionych przy szlakach sudeckich (dr Wojciech Giża), karkonoskich laborantów i ich penetracji gór (dr Przemysław Wiater), rekreacyjnej wartości Karkonoskiego Parku Narodowego (dr Zbigniew Piepiora, mgr inż. Klaudia Mądro). W imieniu mgr. Mariana Sajnoga działalność przewodników sudeckich w GOPR przybliżył jego syn – dr Miłosz Sajnog.

Patronatem honorowym wydarzenie objęli: prof. nadzw. UE dr hab. Elżbieta Sobczak (Dziekan Wydziału Ekonomii, Zarządzania i Turystyki Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu); dr inż. Andrzej Raj (Dyrektor Karkonoskiego Parku Narodowego) oraz prof. nadzw. UE dr hab. Jacek Potocki (Prezes Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego).

W skład komitetu naukowego sympozjum weszli: prof. dr hab. Andrzej Rapacz – Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu, prof. nadzw. GSW dr hab. Armin Mikos von Rohrscheidt – Gnieźnieńska Szkoła Wyższa Milenium w Gnieźnie, prof. nadzw. UE dr hab. Jacek Potocki – Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu, KPS przy O/PTTK w Jeleniej Górze, prof. nadzw. AWF dr hab. Zygmunt Kruczek – Akademia Wychowania Fizycznego w Krakowie, prof. nadzw. AP dr hab. Michał Żemła – Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie, dr Piotr Gryszel – Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu, KPS przy O/PTTK w Jeleniej Górze, dr inż. Jerzy Górski – KPS przy O/PTTK w Jeleniej Górze, mgr Roksana Knapik – KPS przy O/PTTK w Jeleniej Górze, mgr Tomasz Miszczyk – Muzeum Karkonoskie w Jeleniej Górze, KPS przy O/PTTK w Jeleniej Górze.

W skład komitetu organizacyjnego weszli: Jerzy Górski, Piotr Gryszel (przewodniczący), Roksana Knapik, Maria Marcinkowska (sekretarz), Andrzej Mateusiak, Tomasz Miszczyk, Jacek Potocki – członkowie KPS przy O/PTTK w Jeleniej Górze i pracownicy Oddziału PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze.

Patronat medialny nad wydarzeniem objęły: „Karkonosze. Czasopismo Sudetów Zachodnich” – <http://kpnmab.pl/pismo-karkonosze> oraz „Turystyka Kulturowa. Czasopismo naukowe” – www.turystykakulturowa.org.

Sympozjum zostało dofinansowane przez Urząd Marszałkowski Województwa Dolnośląskiego, Starostwo Powiatowe w Jeleniej Górze i Miasto Jelenia Góra. Sponsorem wydarzenia był Likier Karkonoski.

Spotkanie umożliwiło wymianę doświadczeń i anegdot oraz integrację środowiska przewodnickiego. Efektem sympozjum będą publikacje w „Karkonoszach. Czasopiśmie Sudetów Zachodnich”, „Turystyce Kulturowej. Czasopiśmie naukowym” oraz w monografii naukowej poświęconej wydarzeniu.

Zbigniew Piepiora



43. wycieczka Rajdu na Raty 2017

W niedzielę 12 listopada 2017 roku Zarząd Oddziału PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze zaprosił turystów na 43. już w tym roku wycieczkę z cyklu Rajd na Raty. Tym razem prowadzący, piszący te słowa, spotkał się z uczestnikami przy dworcu kolejowym w Kowarach. Ponieważ to już jedna z ostatnich w tym sezonie wycieczek, postanowiłem nie męczyć zbyt jej uczestników i zaproponowałem króciutki, bo tylko 8-kilometrowy spacer z Kowar przez Skalną Bramę do Bukowca. Nie oznacza to jednak, że miało być nudno. Tym razem przygotowałem więcej atrakcji czysto krajoznawczych.

Na początek skorzystałem z zaproszenia Zbigniewa Piepiory, który przyjął nas w Gościńcu na Starówce. Omówił on stałe wystawy fotograficzne prezentowane w obiekcie, a także przybliżył historię górnictwa w Kowarach. Następnie Jacek Mielczarek, który właśnie przyleciał z Irlandii, zaprezentował nam swoją wystawę o zabytkach tego kraju. Mieliśmy szczęście, bo oficjalna premiera tej ekspozycji dopiero przed nami.

Po mile spędzonym czasie i zrobieniu pamiątkowej fotografii udaliśmy się w drogę. Minęliśmy zamek Nowy Dwór, z którym związanych jest tak wiele opowieści i legend, że nie sposób wszystkie przedstawić. Ten ciekawy obiekt obecnie nie jest dostępny dla turystów, można zatem podziwiać go tylko zza płotu. Jednak głównym celem naszego spaceru była Skalna Bramka, dlatego ruszyliśmy dalej wchodząc w las. Najbliższe kilometry nie należały do lekkich. Mimo iż wydawałoby się, że górki przed nami to niewielkie wzniesienia, okazały się one bardzo wymagające. Nie dość, że czekało nas wiele bardzo



stromych podejść i zejść, to jeszcze teren był bardzo podmokły. Utrudnienia te jednak nie stanowią specjalnego wyzwania dla wprawionych turystów. Dlatego bez trudu dotarliśmy na wzgórze Bramka wznoszące się na niebotyczną wysokość 495 metrów n.p.m., gdzie mogliśmy zobaczyć jak przyroda potrafi poukładać potężne skały tworząc naturalne przejścia pod nimi. W miejscu tym upamiętniono pobyt Szwajcara Karla Klöbera – w skale wyryto stosowny napis oraz rok 1795.



W ostatnim etapie wycieczki wykorzystaliśmy liczne polne i leśne ścieżki znajdujące się po drodze do pałacu w Bukowcu. Na szczęście pogoda nam dopisywała, było sucho i słonecznie. W pałacu miała miejsce prelekcja z mojego letniego pobytu w Indiach. Opowiedziałem o tym, jak odebrałem Indie, co mnie spotkało w Tybecie i jak wysoko udało mi się wdrapać w Himalajach. Okazało się, mimo moich obaw, że opowieść o tak egzotycznej wyprawie zaciekała wszystkich na tyle, że czas jej trwania mogłem spokojnie podwoić.

Ostatnim punktem programu było ognisko i pieczenie kielbasek. Odpowiednie warunki do tej części wypoczynku zostały zabezpieczone dzięki Regionalnej Pracowni Krajoznawczej Karkonoszy działającej w Związku Gmin Karkonoskich.

Krzysztof Tęcza

Przejście szlakiem im. Tadeusza Stecia

W środę 15 listopada 2017 roku odbyło się przejście szlakiem, który niedawno otrzymał imię legendarnego przewodnika Tadeusza Stecia. Szlak żółty prowadzący od siedziby PTTK w Jeleniej Górze do skał Słonecznik jest trasą bardzo wymagającą. Prowadzi cały czas pod górę, a oprócz tego trzeba pokonać wiele wzniesień. Są to m. in.: Witosza, Grodna, Czoło. Na pomysł przejścia wpadł Robert Nowak i to on był prowadzącym trasę. Ponieważ niedawna zmiana czasu spowodowała, że szybko zapadają ciemności, w drogę wyruszyliśmy o wpół do siódmej rano. Spotkaliśmy się pod umieszczoną na budynku PTTK tablicą upamiętniającą Tadeusza Stecia i po zrobieniu pamiątkowego zdjęcia poszliśmy przed siebie. Oczywiście nie trzymaliśmy się kurczowo szlaku żółtego. Gdy po drodze pojawiło się coś ciekawego, co znajdowało się nieco poza szlakiem, szliśmy tam, by to obejrzeć.

Pierwszy odcinek, wiodący przez Jelenią Górę, zawsze przebiega spokojnie. Raz, że wszyscy są wypoczęci, dwa, że na horyzoncie przed nami widzimy Karkonosze przysypane lekkim białym puchem. I nawet gdy w rzeczywistości nie widać naszych gór, to w parku możemy je obejrzeć dzięki ustawionemu tam przekrojowi Sudetów.

Po drodze zahaczamy o Dwór Czarne i dalej idziemy polnymi i leśnymi ścieżkami. O tej porze roku są one bardzo podmokłe, trzeba uważać, by nie zostawić w błocie butów. Ostatnie wichury wyrządziły w naszych lasach wiele szkód. Większość z nich została usunięta. Niestety, ziemia jest tak nasiąknięta wodą, że teraz wystarczy lekki wiaterek, by poprzewracać mające bardzo płytki system korzeniowy świerki. I to one właśnie najczęściej leżą na naszej drodze. Wiele razy musimy obchodzić je dookoła. Pierwsze wielkie skupisko poprzewracanych drzew znajduje się na podejściu na Witoszę. Takich zniszczeń w tym rejonie jeszcze nie widziałem.

Po wejściu na szczyt mamy pierwszy wspaniały widok na Karkonosze. Warto było się tu wdrapać. Teraz musimy zaliczyć setki kamiennych schodów prowadzących na dół. Trzeba jednak uważać, bo są one bardzo śliskie. Gdy dotarliśmy do drogi biegnącej przez wieś, poczuliśmy, że pora na pierwszy posiłek. Na

szczęście jest tutaj sklep, w którym można kupić pyszne pieczywo i smaczne kielbaski. Oczywiście korzystamy z tego i przysiadamy na ławeczce przy kościele, by spożyć to, co zakupiliśmy.

Po takim odpoczynku ruszamy w dalszą drogę prowadzącą na Grodną, gdzie od dłuższego już czasu prowadzone są prace remontowe na stojącym tutaj Zamku Księcia Henryka. Zobaczyliśmy, jak bardzo zmienił się ten obiekt. Wszyscy mówią o udostępnieniu wieży widokowej poprzez zamontowanie metalowych schodów, ale mało kto wie, że zostały naprawione mury zamkowe, zabezpieczone otwory okienne i przygotowano obiekt do wmontowania pierwszego stropu nad dolną salą. Jeśli prace będą postępowały w takim tempie, już niebawem będzie to nowa atrakcja turystyczna – przybysze nie tylko będą mogli obejrzeć



eksponaty w planowanym tu małym muzeum, ale także skorzystać z usług gastronomicznych.

My, schodząc do Sosnowki, zbaczamy nieco w bok, by odwiedzić nowy obiekt wzniesiony tak, że z jego tarasu rozpościera się widok zapierający dech w piersiach. Jest to „Złoty Widok”. Muszę przyznać, że w pełni zasługuje na swoją nazwę.

Teraz musimy podreptać trochę po asfalcie – nie da się tego uniknąć. W końcu jednak dochodzimy do lasu i pniemy się pod górę w stronę widocznej już po chwili kaplicy św. Anny. Musimy tylko uważać, by nie utopić się w błocie powstałym tutaj po wycince i zwózce drewna.

Teraz trzeba dotrzeć do ośrodka „Lubuszanin”. Mimo że nie jest odległy, dojście zajmuje trochę czasu, gdyż od tego momentu zaczyna się śnieg. Jest go coraz więcej, ale dopiero po minięciu wspomnianego ośrodka robi się nieciekawie. Nie dość, że śniegu i wody jest coraz więcej, to znowu na drodze leżą wywroty. Takie jednak „drobiazgi” nie mogą nas zatrzymać. Wdrapujemy się na Czoło i schodzimy do Bierutowic. Jesteśmy koło świątyni Wang.

Tutaj musimy się rozstać. Ja i wędrujący z nami Jacek Potocki (Prezes ZG PTTK) wsiadamy do autobusu i wracamy do Jeleniej Góry, a Robert Nowak, Jerzy Gorczyca i Zbyszek Górski ruszają dalej, by po niespełna dwóch godzinach osiągnąć cel naszej wyprawy, którym jest Słonecznik.

Krzysztof Tęcza



NA SZLAKU

www.na-szlaku.net

**Polub nas
na Facebooku!**

Bogda i Mietek zapraszają do Zgorzelca

Na XXXVIII Krajoznawcze Spotkanie Rodzinne Bogda i Mietek zaprosili nas do Zgorzelca. Sam Zgorzelec był raczej bazą, z której mieliśmy wyruszyć na sobotnią wyprawę w miejsce niezwykle, ukształtowane przez lodowiec i ludzi. Tym dziełem tak wspaniałym jest Łuk Mużakowa – wpisany na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, transgraniczny geopark stowarzyszony w Europejskiej Sieci Geoparków. W jego obszarze leży Park Mużakowski, o którym wielu z nas słyszało, że trzeba go koniecznie zwiedzić. Sobota zapowiadała się ciekawie, tym bardziej, że Bogda zamówiła dobrą pogodę, a wszystko wskazywało na to, że dośta-
wa się nie opóźni.

Zjechaliśmy z różnych stron kraju w piątek, 26 maja. Dzień w maju jest długi, więc było dość czasu, by po powitaniach i wspólnym posiłku pójść do Goerlitz. Przeszliśmy przez granicę oczywiście po słynnym moście na Nysie Łużyckiej, będącym niestety w trakcie dość długiego remontu – dlatego nie mogliśmy skorzystać ze słynnego chodnika biegnącego poniżej wierzchniej platformy mostu. Prowadzili nas zgorzeleccy przewodnicy, Ela Krzakowska i Jacek Jurak, którzy z właściwym sobie temperamentem i krasomówstwem, oczywiście na bazie ogromnej wiedzy, opowiadali o tym, co widzimy. Przez wieki – od XIII co najmniej – aż do 1945 roku było to jedno miasto nad Nysą Łużycką. Dość intensywne tutaj działania wojenne pod koniec II wojny światowej nie doprowadziły na szczęście do zbyt wielkich zniszczeń; sporo budynków, budowli i rzeźb zachowało się, nawet z dużymi fragmentami bruku. Oczywiście, większość z pietyzmem odrestaurowano i – choć front robót jest wciąż szeroki – miasto w promieniach popołudniowego słońca prezentuje się pięknie. A z wysokiego brzegu Nysy roztacza się rozległa panorama Zgorzelca z Przedmieściem Nyskim na pierwszym planie. Niedzielne przedpołudnie w Zgorzelcu znów będzie należało do wybitnych znawców miasta – Eli i Jacka.

Piątkowy wieczór przeciągnął się do drugiej po północy. Był to czas bardzo intensywnie wykorzystany. Przygotowywaliśmy się do jubileuszowej wyprawy Klubu Zdobywców Korony Gór Polski. Nasza grupa, wywodząca się wprost z tego klubu, dla uczczenia jubileuszu XX-lecia Klubu i Korony wydała płytę i śpiewnik. Zawierają one piosenki śpiewane przez nas podczas wypraw klubowych, także te własnego autorstwa. Wyprawa jubileuszowa odbędzie się za miesiąc – 29.06–1.07. My, pod dumnie brzmiącą nazwą „Wiecznie Młodzi” mamy tam wystąpić w ramach Festiwalu Przyjaciół z Gór, zorganizowanego przez Sławka i Mariannę, oczywiście z niezbędną pomocą włodarzy gminy Kamienica i szefa KZ KGP Łukasza Lisa. Na festiwalu wystąpią artyści znani w Polsce, Europie i za oceanami; gdzie nam do nich, ale – to będzie nasze śpiewanie, nasza emocja! My tak śpiewamy przy ognisku – koronnym ognisku – tak cieszymy się wspólną, magiczną chwilą.

Sobotni poranek nieco nas zaskoczył – już trzeba wstawać?! Ale to słońce za oknem... Już wiedzieliśmy – będzie piękna, majowa sobota, taka polodowcowo-przyrodniczo-historyczna, pełna wrażeń! W busie nasi przewodnicy zdążyli dużo opowiedzieć o Łuku i jego historii. Całkowita powierzchnia Łuku Mużakowa, jako polodowcowej formy morfologicznej, wynosi około 170 km², z czego w Polsce – 75 km². Średnia wysokość moreny waha się od 140 do 160 m n.p.m. Pomiędzy Bad Muskau i Łęknicą Łuk Mużakowa jest rozcięty doliną Nysy Łużyckiej. Na mapie widać wyraźnie, że jest to łuk (niektórzy widzą też podkowę) otwarty ku północy. Cały obszar jest usiany licznymi jeziorkami – pozostałością po intensywnej eksploatacji wielu cennych kopalin, w tym, przede wszystkim, węgla brunatnego. W całym polsko-niemieckim obszarze



Fontanna Muschelminna na Postplatzu w Goerlitz

Łuku Mużakowa było czynnych ok. 90 kopalń węgla, którym towarzyszyły wyrobiska ilów ceramicznych i piasków szklarskich. Właściwie obszar mużakowski należy uznać za dawny okręg przemysłowy górnictwa i przetwórstwa kopalin (przemysł ceramiczny, hutnictwo szkła) o znaczeniu ponadregionalnym. To dobrze, że dziś możemy mówić o tym okręgu przemysłowym – były, ale z drugiej strony aż zadziwiają skutki tak intensywnej przecież działalności człowieka. Człowiek zmienił tu bardzo krajobraz i przyrodę, ale te pozostałości, które dziś oglądamy, urzekają swoim pięknem. Nie ma tutaj rozrytej ziemi, hałd i straszących swą upiornością wyrobisk. Za to są bogate lasy i łąki, upstrzone jeziorkami – zbiornikami pokopalnianymi. Te niezwykle kolorowe akweny zajmują aż 3,5% obszaru Łuku Mużakowa. Przyroda zaskoczyła nawet przyrodników, którzy ku swojemu zadowoleniu mają tu żywe laboratorium przyrody. Na szczęście dla nas – turystów i miłośników przyrody – to laboratorium jest nam udostępnione. W bezpośredniej bliskości Łęknicy powstała 5-kilometrowa ścieżka geoturystyczna „Dawna kopalnia Babina”. Przejście nią pozwala poznać się z elementami unikatowego, niezwykle rzadkiego w Polsce krajobrazu pokopalnianego. Tu, gdzie dziś rosną piękne, bogate lasy, a oczy nasze cieszą dziesiątki kolorowych jezior, jeszcze kilkadziesiąt lat temu straszyl krajobraz silnie zdegenerowany. Ale w latach 70. i 80. ubiegłego wieku przeprowadzona została rekultywacja terenu zapoczątkowująca procesy renaturyzacyjne, które trwają zresztą do dziś. W ten sposób wykształcił się – i w dalszym ciągu się kształtuje – nowy krajobraz pokopalniany. Bardzo dawno temu (340 tys. lat) lodowiec rozpoczął to dzieło, a ludzie najpierw dokonali spustoszeń, a potem spróbowali je jakoś naprawić. Skutki tych ostatnich działań człowieka są tak niezwykle, że poddano je wielowarstwowej międzynarodowej ochronie, a nawet wpisano na listę UNESCO. My mieliśmy kilka godzin do dyspozycji, udało nam się przejść może kilometr ścieżki – od bramy wejściowej do wieży widokowej przy jeziorze „Afryka” – ale zachwytem nie było końca. Szmaragdowe jezioro powstałe na odkrywcę B2 urzekło, przywiodło wspomnienia z Rudaw Janowickich. A z wieży widokowej rozciąga się przepyszny widok na lasy i jeziora. Letnia, słoneczna aura pozwoliła nam w pełni cieszyć się tymi cudami. Zapamiętamy, tym bardziej, że „babina” to po łuzicku babcia. Dziękujemy „babci” – była dziś dla nas dobra.

I już jechaliśmy do położonego w centralnej części Łuku Parku Mużakowskiego. Spodziewaliśmy się wielu atrakcji, wiedzieliśmy, że został wpisany na listę Polskich Pomników Historii, ale to, co ujrzelśmy, przerosło nasze wyobrażenia. Takie nagromadzenie przepięknych, romantycznych alei i alejek, rzeźb, drzew pomnikowych, mostów



Dawna kopalnia Babina – wyrobisko odkrywkowe B2



Widok z zamkowej wieży na Park Mużakowski

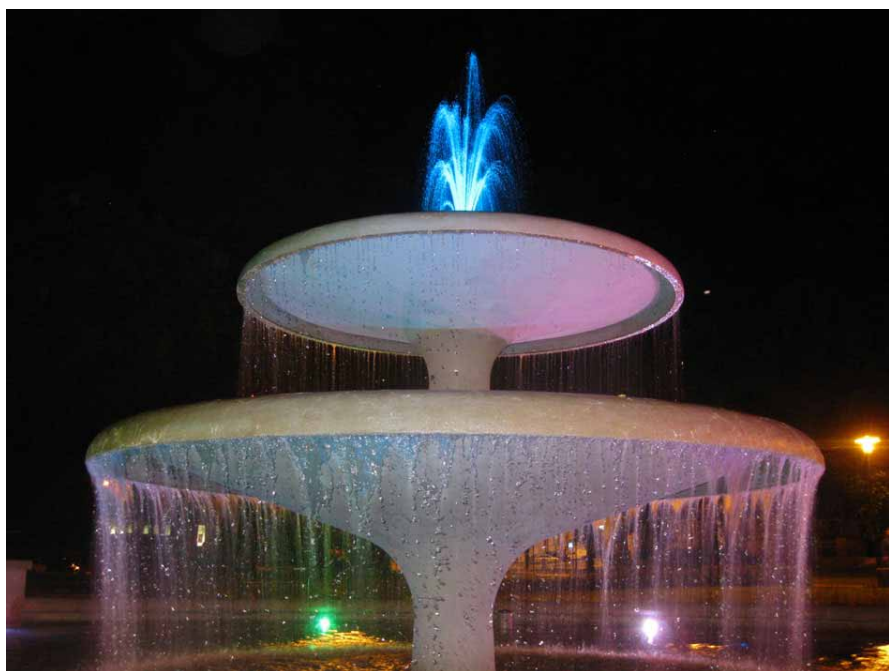
i mostków, strumieni, wodospadzików, budowli... Idąc alejkami i podziwiając kolejne odsłony parku byliśmy pełni uznania dla wizjonerstwa i artyzmu pruskiego księcia Hermana von Pucklera-Muskau, który był twórcą tego, jednego z największych w Europie, założenia parkowego w stylu krajobrazowym (działo się to w początkach XIX wieku). Znany w historii sztuki ogrodowej jako Park Muskau, dziś leży na pograniczu polsko-niemieckim. Nysa Łużycka dzieli park na część zachodnią, niemiecką, obejmującą ok. 200 ha wraz z częścią centralną (z zamkami i ogrodami) i część wschodnią, polską obejmującą ok. 500 ha parku naturalistycznego w stylu angielskim. Obie części łączą dwa historyczne mosty, dziś – na szczęście – znów jest to praktycznie jeden wspólny obiekt, który bez ograniczeń można zwiedzać lub choćby spacerować po nim w tak pięknych okolicznościach przyrodniczo-historyczno-kulturowych.

Weszliśmy do parku w jego części wschodniej i prowadzeni przez Elę i Jacka podziwialiśmy aleje, stare drzewa, mostki wpisane w piękny polodowcowy krajobraz. Miał gust książę i wyobraźnię, dobrze, że miał też pieniądze. Jako ciekawostkę dodam, że tenże książę, całkiem niedaleko od Bad Muskau, w Cottbus założył w 1811 roku podobny, choć mniejszy, park krajobrazowy, też w stylu angielskim. Pieniądze były mu szczególnie potrzebne do postawienia wspólnych budowli i ogólnie urządzenia Parku Zamkowego. Trochę pokręcił się po pałacu – Nowym Zamku, skorzystaliśmy też z tarasu na wieży tegoż, by choć z góry objąć oczyma możliwie jak najwięcej. Tyle musiało nam wystarczyć; aby dobrze poznać te 700 ha, trzeba by kilku dni – my mieliśmy kilka godzin. A przecież należało też w tak pięknych wnętrzach pałacu usiąść choć na chwilę i wypić kawę.

Sobotni wieczór i parę godzin nocnych znów upłynęły pracowicie (choć, czy to praca, jeśli robi się to, co się lubi?). Składaliśmy śpiewniki z tego, co przywieźli z Warszawy i Żnina Wiesiek, Romek i Sławek. Uprawialiśmy też ćwiczenia śpiewacze – ostatnie już przed występem w Kamienicy.

Ostatnim, niedzielnym punktem programu naszego spotkania było zwiedzanie Zgorzelca. Zgorzelec stał do 1945 roku przedmieście Goerlitz. Przy powojennym stoliku zapadły decyzje, które spowodowały zmianę statusu miejscowości z przedmieścia na samodzielne miasto. Zgorzelec, podobnie jak Goerlitz, posiada wiele zabytków, dużo z nich jest odrestaurowanych, zwłaszcza obecny Miejski Dom Kultury, czyli dawna Hala Pamięci, pobudowana w tzw. stylu wilhelmińskim, a poświęcona cesarzom Wilhelmowi I i Fryderykowi III. W przyległym parku miejskim mamy przykład współwystępowania tradycji i nowoczesności – w postaci godnej podziwiania, zwłaszcza wieczorem, kolorowej fontanny.

Z prawego brzegu Nysy – idąc wzdłuż Przedmieścia Nyskiego – podziwialiśmy panoramę Goerlitz z wieżami bram miejskich i kościołów. Na dłużej zatrzymaliśmy się przy kamienicy, w której mieszkał człek niezwykły – najlepszy filozof wśród szewców i szewc wśród filozofów – Jakub Boehme, którego myśl teologiczna i mistyczna wywarła wielki wpływ na rozwój niemieckich mistyków i XIX-wiecznych romantyków. Szewc, żyjący w XVI i XVII wieku wywiera też wpływ na życie współczesnych mieszkańców Zgorzelca i Goerlitz, co widać szczególnie po tłumach przewijających się po Przedmieściu Nyskim podczas dorocznych jarmarków, czyli jarmarków w stylu bardzo dawnym.



Kolorowa fontanna w Parku Miejskim w Zgorzelcu

Ela i Jacek pokazali nam jeszcze kilka pomników i budowli, m.in. cerkiewkę. Zwiedzanie Zgorzelca zakończyliśmy na cmentarzu ofiar wojny. Stamtąd udaliśmy się do stylowej kawiarni w Domu Kołodzieja, gdzie nastąpiło zakończenie naszego XXXVIII Spotkania Rodzinnego. Rozstawaliśmy się nie na długo, przecież za miesiąc wyprawa jubileuszowa Klubu Zdobywców Korony Gór Polski do Kamienicy, gdzie mamy zamiar mocno zaistnieć, a w połowie sierpnia jedziemy z Bogusiem w Jeseniki. Więc już niedługo się spotkamy.

Do zobaczenia na szlaku!

Sławomir Chojnacki

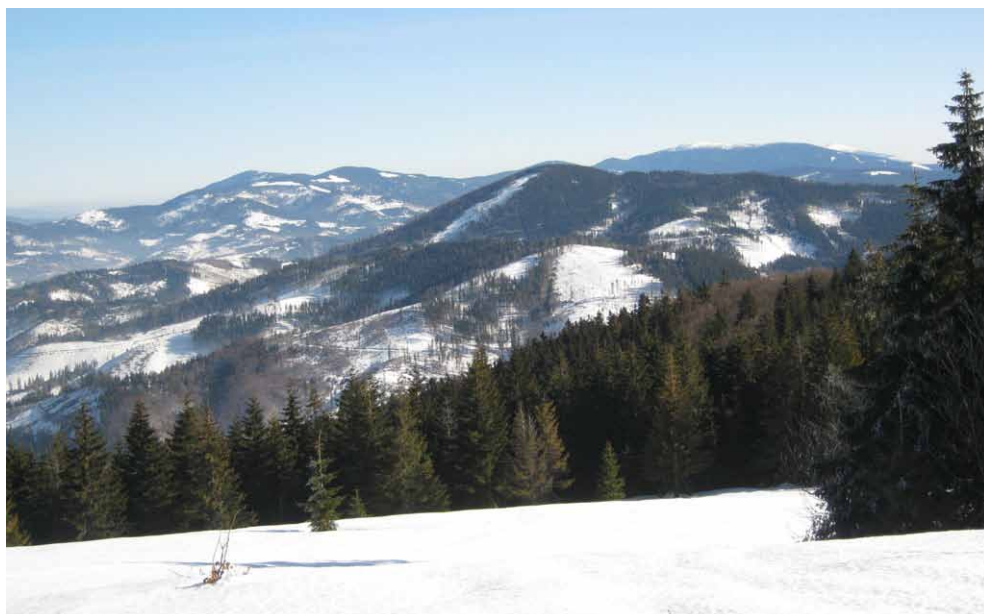
Niespodziewany początek zimy

Nareszcie! W góry zawitała zima i choć to ledwo jej początek, ratownicy GOPR (TOPR już wcześniej) mogli zainaugurować zimowy sezon poszukiwawczo-ratunkowy. Czekali na ten dzień dłuugie letnie miesiące i doczekali się. Ów dzień przyszedł wraz z orkanem (?) Grzegorz w niedzielę 29 października, kiedy śnieg pokrył wyższe partie Beskidu Żywieckiego. Dzień później biało było już w Gorcach, Sądeckim, Śląskim, Pieninach i Karkonoszach. Pod śniegiem znalazło się Podhale. Już sporo wcześniej, bo 5–6 października zima nieśmiało pukała do bram Beskidów, kiedy to śnieg pokrył grzbiet Babiej Góry. Oczywiście w Tatrach nabrała rozpędu i właściwie od początku października od wysokości Hali Gąsienicowej trzeba było liczyć się ze śniegiem, lodem i niską temperaturą. Na efekty zmiany pogody i warunków na szlakach nie trzeba było długo czekać. Odnotowano sporo wypadków w wyższych partiach Tatr, w tym wypadki śmiertelne. To jednak, wbrew wyobraźni krupówkowych spacerowiczów, tatrzańska norma pogodowa o tej porze roku.

W tym czasie w Beskidach panowała „złota polska jesień”, choć i tam dzień zaczynał się od porannego przymrozku, przez mżawkę do rozgrzanego, słonecznego popołudnia, z przerwami na zabłąkane chmury, z których nawet prószył drobny śnieżek. Było tak w Beskidzie Sądeckim w połowie października.

Wróćmy do niespodziewanego początku zimy. W Beskidzie Żywieckim zrobiło się biało, przynajmniej na Pilsku i Babiej Górze. Tego dnia osiem pań wyruszyło na wierzchołek Babiej Góry. Ma ona tę cechę, że gdy wychodzi się z Markowych Szczawin (schronisko) lub z Przełęczy Krowiarki (Lipnickiej) niewiele wskazuje na to, co dzieje się 300–500 m wyżej. Zachęteni dobrymi warunkami turyści ruszają na szlaki wiodące na Sokolicę i dalej lub na Przełęcz Brona, a gdy już tam wejdą, idą dalej nie bacząc, że warunki pogarszają się z każdym metrem. Tak gdzieś do połowy grzbietu między Sokolicą a Diablakiem jakoś idzie, jest do wytrzymania. Podobnie na szlaku z Brony w kierunku szczytu, do Złotnicy – pół biedy. Dalej, od Kościółków zazwyczaj są już „schody”. Powyżej progu Złotnicy zaczyna niemiłosiernie wiać, poziomo pędzące drobinki śniegu (często lodu) biją w twarz i prawie nic nie widać. Takie są realia. Można się do tego przygotować i bezpiecznie przejść zamierzoną drogę, pod jednym warunkiem: jest nim świadomość tego, co może czekać na grzbiecie i odpowiednie przygotowanie pod każdym względem. Trudno powtarzać po raz któryś, jakie to przygotowanie – wystarczy sięgnąć do któregoś z dawnych odcinków *PORADNIKA*. W każdym razie jest to możliwe. Wejście na Babią w złych warunkach nie musi skutkować zabłądzeniem, zamarznięciem, kontuzją i wzywaniem pomocy, jednak brak odpowiedniego przygotowania, chwila nieuwagi, brak właściwego wyposażenia, mogą się skończyć niemiłą przygodą.

Wspomniane turystki weszły na szczyt, potem jednak zgubiły drogę i wezwały pomoc. Dobrze, że nie zawiodła łączność, wszak nie zawsze telefon komórkowy złapie zasięg. Inaczej mówiąc, warunki przerosły ich możliwości, a to dopiero początek zimy. Dobrze, że pomoc przyszła szybko. Jedną turystkę trzeba było znieść na Markowe i zwieźć quadem do karetki, która zawiozła ją do szpitala, pozostałe



**Nie zawsze zima wygląda tak ładnie
– Pilsko ze szlaku Przegibek – Wielka Racza**

panie zeszły o własnych siłach w asyście ratowników. Jak informują ratownicy GOPR-u, turystki były dobrze wyekwipowane, ale źle oceniły warunki w górach, straciły orientację, walcząc z wiatrem szybko osłabły, jedna z nich zemdląła. Tym razem skończyło się szczęśliwie.

Z relacji znajomych turystów, którzy, jak się okazało, byli w tym czasie na Babiej Górze, wynika, że niefortunne turystki w drodze na szczyt Babiej spotkały turystę, który bardzo stanowczo namawiał je

do zawrócenia. Namowy poskutkowały tylko częściowo, cztery panie zawróciły, pozostałe stwierdziły, że dadzą radę. To one były potem sprowadzane przez GOPR. Turystki były dobrze wyposażone, jednak niewystarczająco, jak na panujące wtedy warunki. Moi znajomi wspominają, że **na ich oczach wiatr łamał drzewa** i to wcale nie na dużej wysokości. Można sobie tylko wyobrazić, co działo się na babiogórskiej grani.

Okazuje się, że dobre wyposażenie nie wystarcza, by bezpiecznie iść w góry. Mimo tego dobrego wyposażenia turystki były **wyziębione i przemoczone**, choć przebywały na grani nie tak długo – około 3 godzin od wyjścia w góry do wezwania pomocy. Ratownicy dotarli w godzinę od chwili otrzymania zgłoszenia. By dostać się do poszkodowanych, musieli trawersować zbocze Babiej, gdyż po grani nie dało się iść. Temperatura odczuwalna oceniona została na minus 15° C. Czy ten opis trafia do naszej wyobraźni? Oto ratownicy górcy, potrafiący jak mało kto poruszać się w górach w każdych warunkach, nie byli w stanie iść granią. Oczywiście, jakoś by się dało iść, ale chodziło o to, by jak najszybciej dotrzeć do czekających na pomoc, a nie walczyć z wichurą. Do tego 30-centymetrowa warstwa świeżego śniegu nie ułatwiała zadania.

Proszę potraktować ten tekst jako przestrożę, z jedną konkluzją: dobre wyposażenie to nie wszystko. Może jednak było niewystarczające? A co z doświadczeniem, co z umiejętnością reagowania na pogarszające się warunki. Nieraz byłem na Babiej zimą, w czasie dobrej, bezwietrznej pogody (i widoczności hen po Turbacz z jednej i po Wielki Chocz z drugiej strony), ale też przy śnieżycy, huraganowym wietrze i niemal zerowej widoczności. Widziałem tam turystów, którym też wydawało się, że są dobrze przygotowani. Tylko dla czego schodzili na Markowe Szczawiny z odmrożeniami na twarzy, a ich rękawiczki przypominały odrąbane dłonie z kamiennego pomnika. Turystom wydaje się, że są dobrze ubrani. Dość szybko okazuje się, że i owszem, ale ich wyposażenie wystarcza na dobre lub nieco gorsze warunki. W przypadku załamania pogody, a zimą to załamanie jest zupełnie inne niż latem, często wyposażenie i umiejętności zawodzą. Wiele osób nawet sobie nie wyobraża takiego załamania i tego, jak szybko opuszczają turystę siły, jak popada w otępienie, traci orientację i zdolność właściwej oceny sytuacji i postępowania. To są efekty uboczne zimowej turystyki górskiej.

Szedłem kiedyś z kolegą na Starorobociański przez Ornak. Doszliśmy prawie do Siwych Turni, gdzie próbowaliśmy zagotować wodę na herbatę przed dalszą drogą, kiedy zaczęło wiać. Widoczność w kilkanaście minut z całkiem dobrej skurczyła się do 100 m, potem do 50. Z herbaty nici, wiatr gasił palnik. Nie można było iść dalej. Dookoła tylko biel – rzeźba terenu była niemal nie do rozpoznania. Widzieliśmy cokolwiek tylko dzięki goglom szczelnie przylegającym do twarzy. Trzeba było wracać. Na Siwej Przełęczy utrzymanie się na nogach było naszym głównym zadaniem. Chwilami poruszaliśmy się na czworakach, uczepteni podłóża czekanami i rakami. Kierunek wyznaczały majaczące na grani skałki. Na Przełęcz Iwaniacką zeszliśmy w całkiem dobrej formie, a sukces w postaci bezpiecznego powrotu uczciliśmy przyrządzeniem mocnej herbaty. To na pocieszenie, że zima w górach może dostarczyć turyście niezapomnianych wrażeń. Życzę wszystkim zimowym górskim turystom tylu powrotów ilu wejść na szczyty, najlepiej w jednym kawałku i na własnych nogach.

Juliusz Wyslouch



Jaworki i Wysoka w pełnym słońcu – taką zimę lubimy

Jeden z wielu zapomnianych

Do licznych bardzo ważnych osób zasłużonych dla naszej turystyki górskiej, a zarazem coraz bardziej zapomnianych, należy Władysław Midowicz (1907–1973). Wywodził się z rodziny kolejarskiej. Dorastał w kresowym Stanisławowie i małopolskich Wadowicach. Urodził się 110 lat temu pod Gorganami, w Mikuliczynie. Odszedł już na zawsze i spoczął w podbeskidzkiej Wieliczce. W 1925 r. zaraził się pracą społeczną w Polskim Towarzystwie Tatrzańskim. Znaczną część dorosłego życia poświęcił Karpatom, Beskidom Zachodnim i Wschodnim, Tatom i ukochanej Babiej Górze. Słusznie nazywano go człowiekiem gór.

Po maturze studiował najpierw prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim, potem w Akademii Handlowej we Lwowie i ostatecznie, jako magister geografii UJ, obrał zawód geografa i meteorologa. W 1927 r. został głównym bibliotekarzem i skatalogował zbiory Biblioteki Górskiej PTT w Krakowie. W 1928 r. ożywił Koło Akademickie, a w 1930 r. został odnowicielem i prezesem Oddziału Akademickiego PTT w Krakowie. W 1928 r. ogłosił całościowy projekt Babiogórskiego Parku Narodowego i wytyczył ostrą skalną Perć Akademików na Diablaku. W latach 1925–1926 wiele czasu poświęcił znakowaniu szlaków w tym masywie. Zapalczywie i skutecznie w tzw. „wojnie na pędzle” zwalczał w Beskidach Zachodnich wpływy niemieckiej organizacji Beskidenverein. Na polanie Markowe Szczawiny w latach 1932–1937 gazdował w schronisku PTT.



Władysław Midowicz

Był jednym z nielicznych, którym wiedza ze studiów ekonomicznych pozwoliła na wnikliwe i skuteczne tropienie przez kilka lat i ujawnienie podczas Zjazdu Delegatów PTT (z udziałem Oddziału Akademickiego) bałaganu w księgowości i przekrętów finansowych w centrali PTT. Oddział Akademicki zasłużył się stworzeniem „Funduszu dla badań naukowych w Karpatach”, czyli stypendiów naukowych dla młodych badaczy zjawisk przyrodniczych. Drugą zasługą było dofinansowanie wyposażenia w sprzęty hotelowe schroniska Oddziału Rabczańskie PTT na Luboni Wielkim, otwartego w sierpniu 1931 r. m.in. z udziałem Mieczysława Orłowicza.

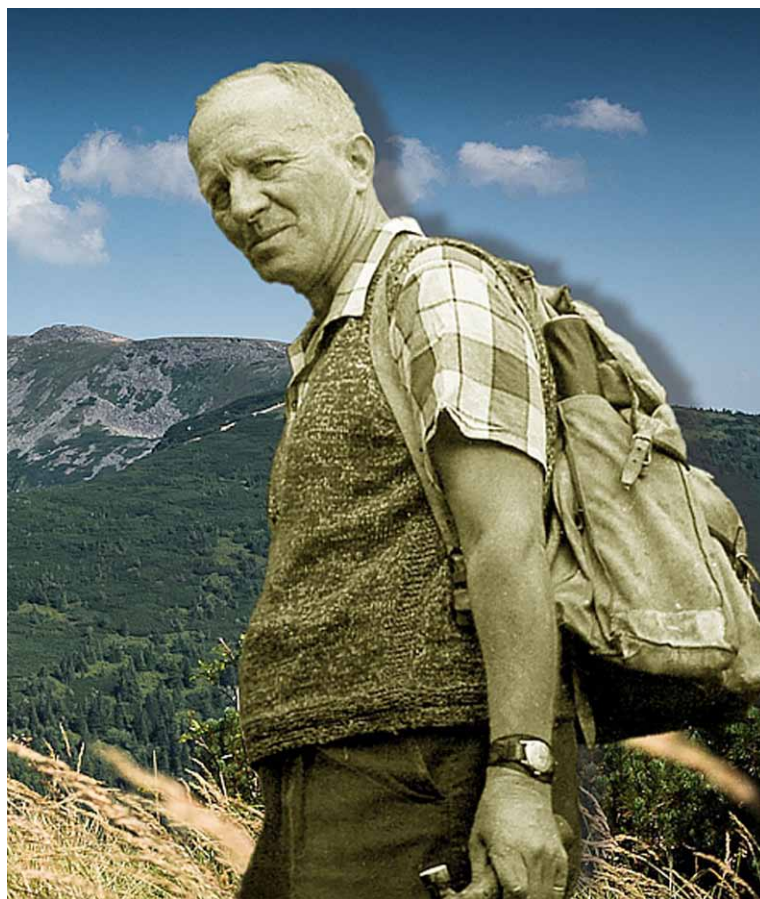
Pionierska praca Midowicza jako znakarza szlaków turystycznych w Beskidach owocuje do dnia dzisiejszego. Po tragicznej śmierci grupy narciarzy w 1935 r. pod szczytem Babiej Góry postępowało znakowanie zimowych szlaków, organizowanie służby ratowniczej, wyposażanie schronisk w sprzęt i szkolenie kierowników schronisk.

Midowicz był płodnym pisarzem i umiał barwnie opowiadać o dawnych szlakach, przygodach, ludziach mu bliskich. Zawsze odpowiadał obszernie na listy, pomagał znaleźć odpowiedzi na wiele pytań. Kończył listy swoistym „sakramentalnym” zwrotem – ściskam łapinę. Piętnował biurokrację, przypominał bzdury organizacyjne i kompromitujące fakty z życia działaczy i wewnątrz Towarzystwa. Pozostawił po sobie liczne opowieści o tematyce górskiej i publicystykę. Unikalne pod wieloma względami (polityka, wywiad, meteorologia, turystyka wysokogórska) było znaczenie Midowicza jako kierownika (w okresie od 1937 r. do 18.09.1939 r.) Obserwatorium Astronomiczno-Meteorologicznego im. Józefa Piłsudskiego, czyli tzw. „Białego Słonia”, zbudowanego na szczycie Pop Iwana w Czarnohorze.

Midowicz ewakuował niektóre sprzęty obserwatorium przez granicę karpacką na Węgry i po typowym szlaku „wytyczonym” przez polską dwustronną klęskę wrześniową trafił do służby meteorologicznej w bazach polskiego lotnictwa myśliwskiego, bombowego i transportowego w Wielkiej Brytanii. Zdemobilizowany w 1944 w stopniu kapitana podjął od 1948 r. pracę w brytyjskiej służbie meteorologicznej aż w malajskim

Sinagapurze (obecnie Malezja). Kolejny etap wędrówki z konieczności życiowej to Australia, gdzie pracował jako nauczyciel geografii i... znakował szlaki turystyczne w Górach Flindersa w południowej Australii. Od 1945 r. – być może także dzięki pracy Midowicza – jest to park narodowy obejmujący dawne terytorium tamtejszych górali, Aborygenów. Obecnie jest to jeden z najbardziej popularnych regionów turystycznych Australii.

W życiu Midowicza jest wiele dat, które kończą się cyfrą 7. Pierwsza to rok urodzenia, (1907), kolejna to objęcie stanowiska na Pop Iwanie (1937), a bodajże jeszcze ważniejsza to powrót do Polski (rok 1967) po wojennej służbie meteorologicznej, eskapadzie singapurskiej i australijskiej. Ten powrót oznaczał po raz kolejny w jego życiu odnalezienie rodzinnych szlaków turystycznych. Wypada przypomnieć, że pierwsze były uczniowskie wędrówki w Pieniny (1922), zakładanie narciarskich śladów w Beskidzie Śląskim, chłopackie, ryzykanckie wyprawy bez ubezpieczeń w Tatrach Wysokich, m.in. na Gerlach (1924), wspomniane wytyczenie Perci Akademików (1925), liczne eskapady narciarskie w Tatrach (1928), „wyczynowe” zimowe trawersowanie masywu ponad strefą lasu na Babiej Górze i penetracja, wtedy egzotycznej, Wielkiej Fatry (1934). Oczywiście niemal bez przerwy, aż do przygody w Czarnohorze – opieka i wiele sezonów poświęconych znajdowaniu szlaków.



We wspomnieniach po powrocie z Australii w 1967 r. swoiście radosny Midowicz stwierdza: *po latach – znowu nas Babiej Górze*. To spotkanie jakby w macierzystych stronach tak opisał: *Zginęły miliony ludzi, spłonęły wielkie miasta i wyleciały w powietrze setki mostów, a ten wagonik wraz z kilku innymi [kolejki z Suchej] jakoś ocalał. Tyle razy wiozła ta jeszcze austriackiego pochodzenia „personka” uczniaka, później studenta, wreszcie młodego człowieka z plecakiem, a teraz wysiadł z niej na przełęczy beskidzkiej już siwiejący człowiek. Spojrzał na puste miejsce po spalonej przez wojnę stacyjce, przyglądnął się znakom, spod których wзираły miejscami strzępki spłowiałej farby sprzed kilkadziesiąt lat i wolno ruszył leśną drogą ku odległej górze. Górze przeznaczenia”. [...] Z grzbietu ponad Klekocinami odsłoniła się majestatyczna góra. Jej lasy pokrywała świeża okiść śnieżna. Uklęknąłem wyciągając ręce. Wracałem do niej po kilkadziesiąt lat tułaczki przez obce kraje. Za przełęczą trzeba było odszukać mało znany turystom skrót na Widelki. Wiodła nią jakaś jednodrutowa linia telefoniczna i resztki śniegu bieleły się w lesie.*

*Na schroniskowej polanie przystanąłem, patrząc z niechęcią na oszpecenie starego domu trzecią mansardą. [...] Wewnątrz niewiele się zmieniło. W drzwiach wiodących z holu do sypialni ciągle jeszcze tkwiły klamki kupione na jarmarku w roku 1906 [...]. Na ścianie świetlicy widniał portrecik Zapalowicza ukrywany podczas wojny w chacie góralskiej na podnóżu. I tak oto zamykał się krąg drogi życia wiodący z Karpat przez Wielką Brytanię, Malaję i Australię. Czekano jeszcze trochę pracy w górach, ale także zbliża się stopniowo kres życia. Przed zejściem następnego dnia odwiedziłem Szumiącą Wodę. Szeleściła pod śniegiem jakby witając znowu powracającego znajomka (Władysław Midowicz, *Notatki z górskiego życia*, rozdz. XIV „Po latach – znowu na Babiej Górze” (1967), w: *Zeszyt Turystyczno-Krajoznawczy Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich „Płaj”* nr 2/1988).*

Ten powrót na polanę Markowe Szczawiny, do starego schroniska po wspomnienia z dawnych lat, oznaczał początek kolejnego etapu służby gór i turystom. Midowicz od początku 1967 r. do odejścia na „Najdłuższy Szlak”, na płaje i ścieżki, w istocie ostatni okres życia poświęcił pełnieniu roli ochotniczego strażnika, odnowiciela, konserwatora i dokumentalisty znakowanych szlaków turystycznych w Tatrach i Beskidach.

Tomasz Kowalik

Miasto i gmina na osi rzeki

Historia Bolesławca sięga tysiąc lat wstecz. Znałe są jego początki i stare grodziska nad Bobrem, a z biegiem lat ludzie dopisywali kolejne wydarzenia i rozdziały historii swojej niewielkiej ojczyzny. Na jej kartach zapisane są takie nazwy, jak Bolesławice, Bolesław czy villa Boleslauicz, ale także Tillonis, Tybindorf, Tyllendorf przed 1945 r., a wreszcie coraz bardziej zapomniane, lecz zapisane w kronikach miejskich Alt-Tillendorf i Neu-Tillendorf, czyli Stary i Nowy Bolesławiec, czasem zapisywany jako Tułowice i Tylinów.

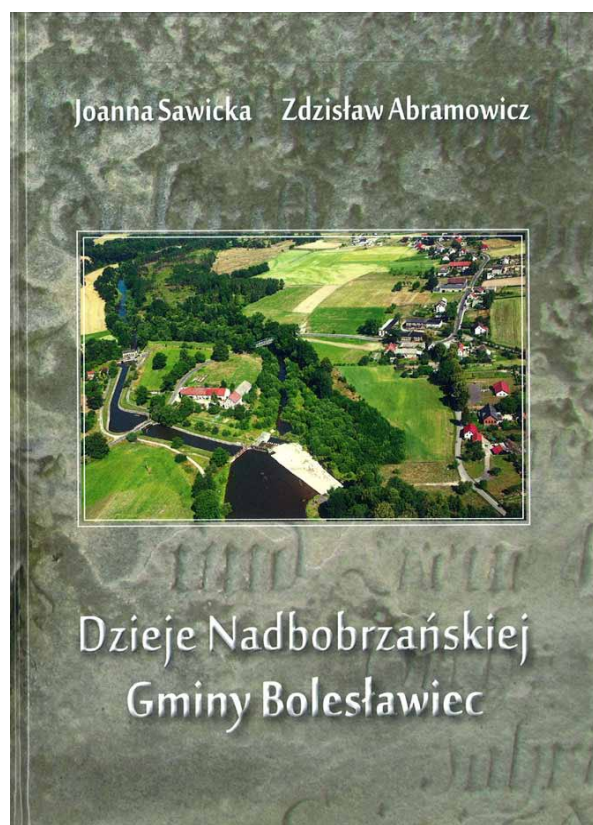
Zanim powstała administracyjnie zwarta gmina w sąsiedztwie Bolesławca, znanych było około 35 samodzielnych wsi, osiedli, folwarków, które mogły pochwalić się swoistymi, często osobliwymi tradycjami i utrwalonymi w historii wydarzeniami oraz ludźmi, którzy mieli w nich swój nierzadko dramatyczny udział. Obecnie większość tych miejscowości to po prostu wsie z licznymi pamiątkami w postaci budynków mieszkalnych i gospodarczych; ich rodowód sięga nierzadko średniowiecza.

W minionych wiekach i latach na rzeczywistość bolesławiecką miały ogromny wpływ działania ostatniej fazy wielkiej wojny światowej, ale też powodzie, pożary, niesforni bądź spinegliwi (w większości) mieszkańcy. Ich zajęciem było uprawianie ziemi, zbieranie plonów, znoszenie niedogodności dyktowanych przez naturę oraz – w ostatnim stuleciu – wojny. Aż do pamiętnego upadku w 1963 r. radzieckiego samolotu myśliwskiego we wsi Łaziska opodal Bolesławca i śmierci pod gruzami domostwa dwóch osób.

Autorzy monografii krajoznawczej i przewodnika „Dzieje nadbobrzańskej gminy Bolesławiec” wprowadzili do niego opisy kilkunastu „miejsc magicznych”. To liczne zamki, klasztory, zbiorniki wodne, a przede wszystkim fragment wielkiego traktu pielgrzymkowego od wieków prowadzącego pątników do Santiago de Compostela w Hiszpanii, czyli słynnej Drogi św. Jakuba, oznaczonej krzyżem na tle muszli. Ten odcinek znany szerzej jako Ekumeniczna Droga Pątnicza, ma swoją osobną nazwę – Dolnośląska Droga św. Jakuba, i jest przedłużeniem Drogi Wielkopolskiej. Na tej trasie krajoznawca nie powinien pominąć kilkusetletniego parku w Dąbrowie Bolesławieckiej, uznanego za pomnik kultury i osobliwość przyrodniczą, zalesionego kilkunastoma gatunkami drzew liściastych i iglastych.

Niestety, pomimo upływu lat ciągle jeszcze w okolicach Bolesławca jest mnóstwo, nierzadko groźnych, pamiątek po ostatniej wojnie oraz późniejszym pobycie w tych stronach wojsk Północnej Grupy Armii Radzieckiej. Są to zaniedbane urządzenia wojenne, umocnienia, tajemnicze budowle oraz – często przeżarte rdzą – resztki uzbrojenia i niewypały. Szczególnie żal zrujnowanych urządzeń hydrotechnicznych, choć nieliczne nadal pracują dla potrzeb mieszkańców gminy – np. elektrownia wodna na Bobrze w Kraszowicach (jednej z najstarszych miejscowości w tych stronach). Warto odwiedzić malowniczy wąwóz Piekłisko, rozległe, użytkowane od średniowiecza wrzosowiska, a z pobliskiego wzniesienia w pogodne dni podziwiać panoramę Pogórza Izerskiego i Karkonoszy.

Autorzy tej obszernej monografii krajoznawczej nie pominęli licznych informacji gospodarczych o przedstawianej gminie, poczynając od łowiectwa, rolnictwa, hodowli ryb, młynarstwa, wytwarzania cegieł i wapiennictwa, poprzez kopalnie złota, energetykę wodną, rozwój sieci kolejowej, dróg i motoryzacji (w tym streszczenie historii Volkswagena od 1933 r.), po handel i pocztę działającą od 1817 r. Osobnym tematem



publikacji są militaria, a zwłaszcza sławny od końca XIX w., czynny do dziś poligon (12 tys. ha) w okolicach Świętoszowa, Pstrąża i Trzebienia, początkowo zwany Wojskowym Placem Ćwiczeń, na którego wrzosowiskach i lasach wylewali pot żołnierze wielu dywizji niemieckich. Dla dopełnienia obrazu życia dawnych mieszkańców Bolesławca pokazano, jak ważna była rozrywka, działalność stowarzyszeń sportowych, a także bogata religijność. Do dziś istnieją zabytki sakralne, liczne lapidaria, pomniki, cmentarze, kaplice, które można zwiedzać w kilkudziesięciu miejscowościach bolesławieckiej gminy.

Niestety, liczne pamiątki z dawnych czasów pochłonęły działania wojenne, zwłaszcza te przed końcem walk. W monografii znajdziemy wiele przykładów unicestwienia obiektów świeckich i sakralnych czy urządzeń przemysłowych.

W końcowej części krótko opisano współczesny stan miasta i gminy, stowarzyszonej od 2006 r. w Lokalnej Grupie Działania „Wrzosowa Kraina” wraz z sąsiednimi – Chocianowem, Chojnowem, Gromadką, Lubinem i Przemkowem. Na uwagę krajoznawcy zasługuje Przemkowski Park Krajobrazowy (22,3 tys. ha + otulina 15,5 tys. ha) istniejący od 1997 r. oraz Bory Dolnośląskie. Warto zapoznać się także z obrazem współczesnego bytowania mieszkających w tych stronach przesiedleńców ze wschodu, także Łemków, a nawet serbsko-chorwackiej ludności z dawnej Jugosławii. Osobliwością w widłach Szprotawy i Bobru są rozległe, bogate w pszczeli pożytek wrzosowiska wspomnianego parku krajobrazowego, ścieżki przyrodnicze, a także liczne gospodarstwa pasieczne i ule ustawiane latem na wrzosowiskach.

Tomasz Kowalik

Joanna Sawicka, Zdzisław Abramowicz, *Dzieje nadbodrzańskiej gminy Bolesławiec*, publikacja w ramach Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich 2007–1013, Europa Inwestująca w Obszary Wiejskie, s. 327, Bolesławiec 2011.

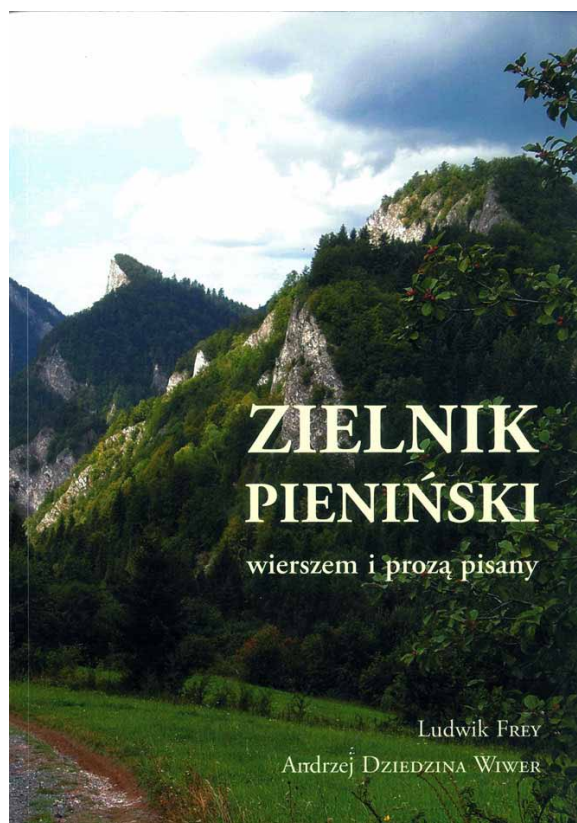
To i owo w okolicznościach przyrody...

Poeta i botanik o roślinach Pienin

Osobliwa para znawców pienińskiej roślinności – poeta z kręgu twórców ludowych i botanik z grona znanych naukowców. Obaj są znakomitymi koneserami górskiej przyrody, roślin zielnych, drzew, krzewów i pienińskich łąk. W tym osobliwym związku parę tworzą literat, twórca poezji (także przyrodniczej) oraz naukowiec biegły w systematyce rzadkich i chronionych roślin pienińskich. Obaj dodają do ich nazw, obrazów, opisów naukowych i poetyckich legendy, wierzenia, opowieści prawdziwe i uroczaje bajania. A to wszystko w książce „Zielnik pieniński. Wierszem i prozą pisany”, zaiste połączenie niezwykajne.

O roślinach można mówić i pokazywać je innym na wiele sposobów. Są starożytne rysunki naskalne, odciski w pokładach węgla i w skałach wapiennych, atlasy botaniczne, zielniki muzealne i kolekcje prywatne, rysunki pierwszych krajoznawców (jeden z nich – Szymon Bogusz Stęczyński – po zwiedzeniu Pienin napisał: *A wszystko tym piękniejsze im dziksza przyroda*). Są liczne mistrzowskie obrazy malarskie, dokumentalne fotografie, filmy przyrodnicze, klucze do oznaczania gatunków, opisy prozą, podręczniki akademickie, spisy roślin zagrożonych, czyli czerwone księgi.

Autorzy dedykowali tę książkę *Wszystkim, którym jest bliska przyroda Pienin*. Od siebie dodam – stworzyli ją dla tych, którzy mają niewielką lub nie posiadają żadnej wiedzy o szacie roślinnej tego masywu naszych gór. Ta książka to zarazem osobliwy, w istocie niezwykły atlas, dzieło poety zakochanego w rodzimej, bliskiej mu, pienińskiej przyrodzie i naukowca-botanika, którego wiedza służy też ochronie przyrody. Dwa



w jednym – obraz literacki i naukowy. Autorzy stworzyli dzieło pożyteczne dla turystów, unikatowe w literaturze krajoznawczej. Wiadomo od starożytności, że poeci wiele swoich dzieł, znanych i zapomnianych, poświęcili roślinom, ich naturalnej urodzie, znaczeniu i różnym przeznaczeniom (jak medycynie przez ziołolecznictwo).

Pieniny to najstarszy polski park narodowy będący zarazem naturalnym muzeum przyrodniczym. Ich szata roślinna należy do najbogatszych w polskich Karpatach. Sławne kwiatowe łąki pienińskie, rozległe polany widokowe, to żywe kolekcje gatunków rzadkich, osobliwych, czasem jedynych, o statusie endemitów, a więc zagrożonych, wpisanych do czerwonych ksiąg, na międzynarodowe listy i do konwencji. Pienińskie łąki od bodajże 200 lat są przedmiotem badań setek botaników, jako uznane za swoiste laboratorium życia i piękna, świadectwo bogactwa i różnorodności. Pieniński Park Narodowy jest wśród naszych parków tak niewielki, że zajmuje przedostatnie miejsce pod względem powierzchni. Ale jest to ogromna kolekcja przyrodniczych osobliwości – nic zatem dziwnego, że czerpią z niej poeci i uczeni.

Układ książki pozwala czytelnikowi poznać 45 utworów poetyckich, które sławią piękno Pienin. Naukowiec jest wierny metodyce, opisuje poszczególne okazy w języku polskim, słowackim i łacińskim, przestrzega zasad systematyki roślin i terminologii przyjętej w botanice. Każdy z czterech rozdziałów książki wieńczy (od botanicznego wieńca roślin) opis sytuacji „na gruncie” (*in situ*), anegdota, mit, żartobliwa przypowieść i informacja o znaczeniu rośliny lub jej części w tradycji i medycynie ludowej.

Poeta sławi rośliny po swojemu. Przypomina jak było „drzewiej”, w każdym przypadku sięga po dawno zapomniane, rodowite słowa, które trzeba czytać powoli, żeby zrozumieć ich znaczenie. Więc np. aster alpejski to *wole* łocko, dziewięciśń bezłodygowy to *dziewiońciosiś*, pospolita stokrotka to *paradnica*, śnieżyczka przebiśnieg to *śniygulicka*, świerk to *smerek*, zaś rozchodnikowiec wielki to *wrónie sadło*. Żeby było dźwięczniej, to łąka jest *pionińsko* łonko, a szukanie kwiatu paproci w noc świętojańską, to zajęcie skazane na niepowodzenie w tej *jónowej* *dobie*. Dla dopełnienia obrazu osobliwości nazw botanicznych w gwarze pienińskiej trzeba wspomnieć, że święto Matki Boskiej Zielnej to czas kiedy *Matko Zielono zioła* świońci.

Pora ujawnić poetę i naukowca, obu zakochanych w Pieninach, ich barwnej, paradnej i codziennej szacie roślinnej. To Andrzej Dziedzina Wiwer, od wielu pokoleń pieniński góral, uznany twórca, a drugi to profesor Ludwik Frey, krakowianin, historyk botaniki, łazęga górski i fotograf przyrody. Zeszli się w tej samej dobrej sprawie i popelnili książkę, jakich nie można znaleźć, nawet jeśli się odwiedzi sto dużych bibliotek i księgarń, w tym podhalańskich, krakowskich, poznańskich czy warszawskich.

Ta niezwykła książka składa się z czterech części: o roślinach zielnych (opisali ich 10); drzewach, krzewach i krzewinkach (to obrazki 15 roślin, w tym 12 drzew); łąkach (*łónkach*), czyli trawach, turzycach, roślinach jedno-, dwuliściennych i mszakach oraz opowieści niekonieczne prawdziwych (prawdy i bajdy o roślinach, pożytkach z nich, o zielarkach i leczeniu ziołami). Autorzy chcieli przekazać postronnym choć znikomą wiedzę o florze pienińskiej, bujnych pienińskich łąkach i lasach, pokazać piękno szaty roślinnej tych gór, zachęcić do wspierania ich ochrony. Zależało im, aby czytelnicy odkryli to naturalne piękno dla siebie, zwłaszcza jeśli zechcą wędrować po pienińskich szlakach „w pięknych okolicznościach przyrody”.

Tomasz Kowalik

Ludwik Frey, Andrzej Dziedzina Wiwer, *Zielnik pieniński. Wierszem i prozą pisany*, Oficyna Wydawnicza „Rewasz”, Pruszków pod Warszawą 2017, s. 164

Mieczysław Karłowicz w Tatrach

Po ponad stu latach od pierwszego wydania, w roku 2016 ukazało się drugie wydanie pism taternickich i fotografii Mieczysława Karłowicza sygnowane przez krakowskie Wydawnictwo Astraia. Mimo że upłynął już rok od ukazania się tej pozycji, to warto poświęcić kilka słów na jej omówienie. Sam Mieczysław Karłowicz (1876–1909) znany jest w powszechnej świadomości jako wybitny kompozytor, twórca sześciu poematów symfonicznych, koncertu skrzypcowego i wielu pieśni. Tylko nieliczni wiedzą o tym, że był również wytrawnym alpinistą rozmiłowanym w Tatrach.

Publikacja podzielona jest na następujące części: „Wstęp do drugiego wydania”, „Przedmowa do drugiego wydania”, „Wstęp do pierwszego wydania”, „Przedmowa do pierwszego wydania”; rozdziały – „Wycieczka

na Króla Tatrzańskiego i na Szczyt Mięguszowiecki”, „W ważnej sprawie”, „Po młodym śniegu (dziewięć dni w Tatrach)”, „W jesiennym słońcu”, „Wśród śniegów tatrzańskich”, „Rohacz”, „Z wędrówek samotnych”, „Od wydawnictwa pierwszego wydania”, „Przejścia Mieczysława Karłowicza w Tatrach”. Smaczkiem publikacji jest reprodukcja mapy Tatr (Magas Tátra) z węgierskiej „Wielkiej Encyklopedii Pallas” (*A Pallas Nagy lexikona*) wydawanej w latach 1893–97.

Recenzowane publikacja powieli układ pierwszego wydania. Zdjęcia Karłowicza są uporządkowane wedle edycji z 1910 roku. Celem lepszego zrozumienia, teksty zostały zaprezentowane wedle zasad współczesnej ortografii i pisowni. Przedmowę do wydania drugiego napisał Władysław Malinowski, muzykolog i alpinista, swego czasu partner tatrzańskich wypraw Andrzeja Zawady. Malinowski jest również autorem nowego wydania spisu wejść tatrzańskich Karłowicza, znajdującego się na końcu książki. Właśnie ten spis zdobytych szczytów robi ogromne wrażenie. Pochylmy się nad tym tematem.

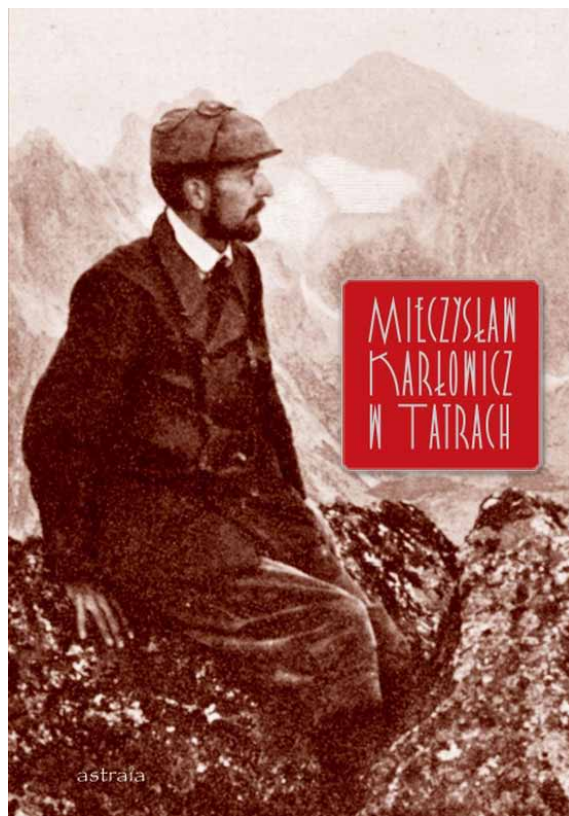
Karłowicz penetrował Tatry od 1889 roku, jednak jego najbardziej intensywna działalność górską przypadła na lata 1905–1909. W towarzystwie początkowo Jędrzeja Wali, a potem głównie Klimka Bachledy i Mariusza Zaruskiego zdobył wiele tatrzańskich dwutysięczników. Wymieńmy tu przede wszystkim: Gerlach, Łomnicę, Lodowy Szczyt, Wysoką, Baranie Rogi, Krywań, Durny Szczyt, Staroleśną, Bątyżowiecki Szczyt, Rumanowy Szczyt, Jastrzębią Turnię, Szatana, Rysy, Bystrą, Mięguszowiecki Szczyt, Mnicha, Świnicę, Kozi Wierch, Niżne Rysy czy Wołowiec. Do najważniejszych osiągnięć Karłowicza należy: I wejście na Wielką Kołową Turnię (granią od Modrej Turni); I wejście na Ciężką (Czeską) Turnię granią północno-wschodnią z Dolinki Spadowej; I wejście na Jaworowy Szczyt od Jaworowej Przełęczy; I wejście na Zadnią Jaworową Turnię; I zimowe wejście na Kościelec; I zimowe wejście na Wołoszyn z przełęczy Krzyżne.

Ciekawostką publikacji jest to, iż z opisu jednej z ostatnich wypraw Karłowicza na Suchy Wierch Kondracki wynika, że doświadczył on widma Brockenu. Oddajmy głos Karłowiczowi: *Ku najwyższemu zdumieniu swemu spostrzegłem nagle na mgle podwójne koło tęczowe, a w jego środku moje odbicie. Sobowtór posuwał się równolegle, wykonywał wszystkie ruchy moje* (str.128). Stara tatrzańska legenda mówi, że jeśli kto zobaczy widmo Brockenu raz, będzie ono czyhać na jego życie, za drugim razem też nie jest dobrze go spotkać, natomiast za trzecim razem człowiek może czuć się już bezpieczny.

Warto przytoczyć fragment tekstu, w którym Karłowicz opisuje swój stosunek do Tatr: *Czy rozsądnie czyni ten, kto chodzi samotnie po Tatrach, zwłaszcza po ich okolicach rzadko zwiedzanych? Kwestia ta przesądzona jest od dawna przecząco i przesądzona nie tylko w sposób rozumowy: wiąże się z nią cały szereg niepokojących obrazów w rodzaju turysty ze złamaną nogą, leżącego samotnie wśród pustkowia i na próżno wzywającego pomocy, lub też wędrowca szarpiącego się bezradnie w żelaznym uścisku oklepcy. Gdyby ktoś z osób mi drogich wyruszał samotnie na kilkudniową wyprawę w głąb Tatr; wszystkie niebezpieczeństwa stanęłyby mi w postaci dręczących obrazów przed oczami; odnalazłbym też wszystkie argumenty, które skazują samotną turystykę na potępienie* (s. 115). Paradoksalnie, w ostatnią wycieczkę na nartach wybrał się samotnie i zakończyło się to tragicznie. Zginął 8 lutego 1909 roku porwany lawiną śnieżną pod Małym Kościelcem. *Tak ślepy los zabrał człowieka i taternika niezwykle, może najpiękniejszą z postaci, jakie na szczytach gór naszych kiedykolwiek stąpały* („Przedmowa do pierwszego wydania”, str. 23).

Kończąc recenzję nie pozostaje nic innego, jak zaprosić gorąco do lektury mając za przewodnika Mieczysława Karłowicza. W książkę można zaopatrzyć się w dobrych księgarniach, jak również zamówić bezpośrednio ze strony internetowej Wydawnictwa Astraia: www.astraia.pl.

Sebastian Jakobsch



Mieczysław Karłowicz w Tatrach, Mieczysław Karłowicz, Władysław Malinowski, wyd. II, format 165x235, oprawa twarda, Wydawnictwo Astraia, Kraków 2016

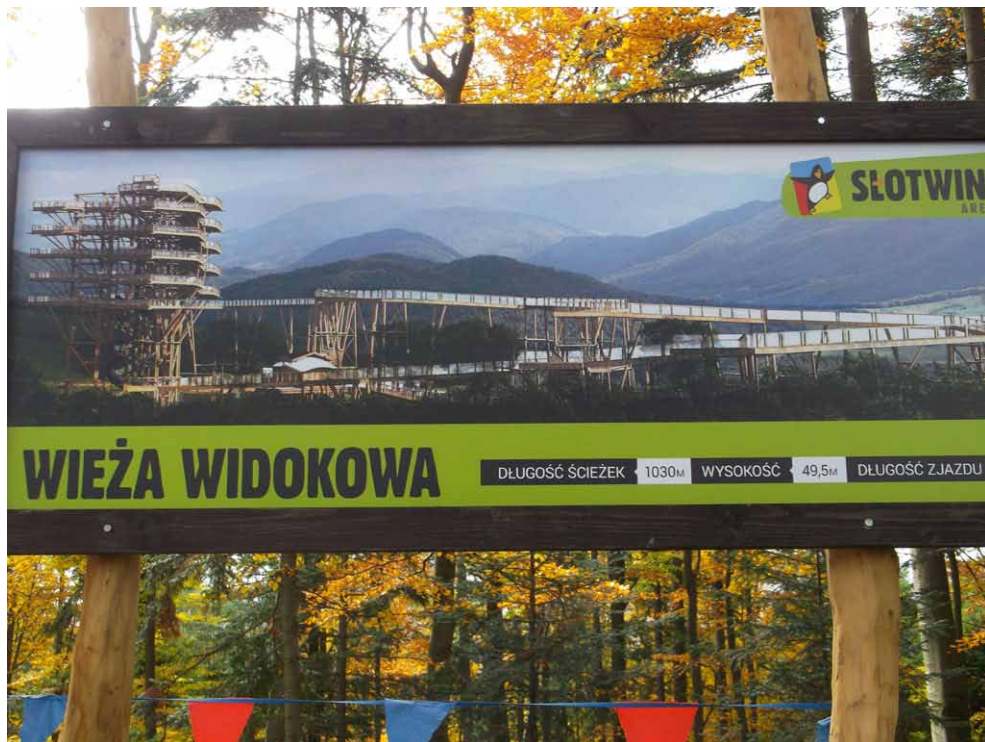
Leją beton na gór szczycie

Tym razem w Beskidzie Sądeckim nad Słotwinami. W ramach rozbudowy ośrodka narciarstwa zjazdowego SŁOTWINY ARENA zbudowano drugą linową kolej kanapową, która zapewne zostanie uruchomiona w najbliższym sezonie zimowym. Kolej ta jest usytuowana w pobliżu pierwszej, obie będą obsługiwać narciarzy korzystających z oferty owej ARENY. To jeszcze mogę zrozumieć. Natomiast zupełnie nie rozumiem hołdowania modzie przybyłej z Czech i Słowacji, modzie zabudowy górskich wierzchołków i grzbietów konstrukcjami niemającymi NIC WSPÓLNEGO z turystyką, edukacją ekologiczno-przyrodniczą,

krajoznawstwem, wypoczynkiem, rekreacją w naturalnym (w miarę) środowisku. Pal diabli te drewniane wieże wyrosłe w Gorcach, innych częściach Beskidów i na Pogórzu, nawet owe „ślimaki” widokowe. Najgorsze paskudztwo budują nad Słotwinami koło Krynicy-Zdroju. Oficjalna nazwa to „Wieża widokowa ze ścieżką przyrodniczo-edukacyjną w koronach drzew”. To szczyt hipokryzji, nazwać w ten sposób twór powstający na

górskim grzbiecie. Co to ma wspólnego z przyrodą i edukacją? Gdzie tu przyroda, jaka edukacja? Może ktoś chce pokazać, że można w imię mamonny robić w krajobrazie, co się chce i jak się chce? To też jakaś edukacja. Na pewno wielu ludzi coś takiego zainspiruje. No bo jeśli w PARKU KRAJOBRAZOWYM (Popradzkim) można tak ingerować w krajobraz, to znaczy, że można prawie wszystko.

Nie będę opisywał, co za twór jest budowany. Wystarczy spojrzeć na zdjęcie planiszy informacyjnej. W każdym razie ta konstrukcja ma



Plansza informacyjna „wieży widokowej”



Górna stacja nowej kolei w Słotwinach

przyciągać rzesze „turystów”, napędzać frekwencję do Krynicy i Słotwin. U podnóża grzbietu rośnie właśnie hotel i inna infrastruktura „okoloturystyczna”. Przypuszczalnie do owego monstrum będą dowozić ludzi obie kolejki kanapowe. Przecież nikt na własnych nogach tam nie podejdzie, nie o to chodzi. Kolejka = kasa, wieża widokowa = kasa. Teraz nawet ta istniejąca kolejka latem stoi bezczynnie. Zresztą większość kolejek linowych w polskich górach zbudowano na potrzeby ledwo 3–4 miesięcznego sezonu narciarskiego. Potem specją krajobraz przez pozostałą część roku. Po co i dla kogo to wszystko? Nie dla miłośników

gór i krajobrazu, nie czarujmy się. Na naszych oczach niszczy się krajobraz, ingeruje w naturę gór. Tak niewiele ich mamy i zamiast je chronić – zabudowuje się je gigantycznymi konstrukcjami, całkowicie obcymi w krajobrazie, niemającymi związku z miejscową tradycją budowlaną i gospodarczą.

Wypada zapytać: Gdzie jest wojewódzki inspektor ochrony środowiska, gdzie architekci, gdzie park krajobrazowy? Czy mają jakieś kompetencje, czy może budowa wpisuje się w nurt populistycznej „dobrej zmiany” (polowania niemal bez ograniczeń, wycinka drzew niemal bez ograniczeń, trasowanie szerokich dróg w środku gór, ...) dla zadowolenia gawiedzi?

Juliusz Wysłouch



Budowa wieży w Słotwinach

Trzydzieści lat wspólnej przygody

Jak już informowaliśmy, trzydziestolecie razem z czytelnikami obchodził „Płaj” – osobliwe czasopismo, a dokładniej – półrocznik, wydawany dzięki społecznemu wysiłkowi, czyli bez korzyści materialnej, przez kilku entuzjastów z Towarzystwa Karpackiego. Niedawno, a mianowicie 19 października 2017 r. w gościnnym Muzeum Ziemi w Warszawie odbyło się jubileuszowe spotkanie wiernych czytelników i, także im wiernych, wydawców tego czasopisma. Zainteresowanych nim zachęcam do lektury artykułu poprzedzającego jubileusz 30-lecia „Płaju” na naszych łamach (numer e-130(326) z sierpnia 2017 r.).

Objaśnialiśmy jego tytuł tak, jak jego autorzy na każdej pierwszej stronie kolejnego numeru: [czasopismo Płaj to] *droga do wnętrza gór, do ich serca, którą od wieków kroczyły całe pokolenia ich mieszkańców, zamykając w jej kształcie sumę swoich doświadczeń. Można na niej odnaleźć, oprócz śladów karpców i racic, także ślady podkutych butów pierwszych turystów, czy rzuconych tu przez kolejną wojnę żołnierzy. Drogę, na której w sposób tajemniczy i czytelny tylko dla nielicznych zapisana jest historia gór. Chcemy* – napisali w pierwszym wydaniu w 1986 r. – żeby stało się także swego rodzaju drogą wprowadzającą czytelnika w głąb gór w przestrzeni i w czasie.

Tak się stało i trwa od trzydziestu lat, dzięki wydawcom oraz kilkunastu pokoleniom entuzjastów Karpat skupionych w Studenckim Kole Przewodników Beskidzkich w Warszawie.

Unikalny charakter czasopisma wyznacza wiodąca tematyka, czyli „nic, co karpackie, nie jest nam obce”. Jubileuszowy posiad, choć nie przy wiatrze, był okazją do podsumowania „płajowego” dorobku, a przede wszystkim do podziękowania autorom i czytelnikom za trzydziestoletnią wierność karpackim szlakom, karpackim zainteresowaniom, karpackim tematom. Spotkaniu towarzyszyła kolekcja bodajże 13 przejrzystych,



barwnych plansz dokumentujących „Płaj” jako unikatowe czasopismo monotematyczne, przedstawiających główne ciągi tematyczne publikacji oraz ich autorów, wymienionych alfabetycznie w liczbie i skromniutki zespół wydawców, zaledwie... dwu-, trzyosobowy. Była to także okazja do przypomnienia najważniejszych tematów na łamach „Płaju”, a zarazem sposobność kupienia archiwalnych i bieżących wydań czasopisma.

Na łamach pisma, ukazującego się zazwyczaj na wiosnę lub jesień, znalazły się unikatowe opracowania źródłowe, dokumenty historyczne, reportaże z wielu szlaków w Karpatach Wschodnich i Zachodnich, z karpackich bezdroży w Rumunii i na Ukrainie; liczne obrazy fotograficzne krajobrazów, ludzi i wspomnienia z miejsc, gdzie przed stu i więcej laty miały miejsce znane powszechnie lub całkiem zapomniane wydarzenia historyczne, z obydwoma ostatnimi wojnami na czele. A także biografie artystów, pisarzy, naukowców, budowniczych schronisk karpackich, odnalezione korespondencje osób znanych i zapomnianych, a pracujących na rzecz turystyki w karpackich roztokach i na połoninach.

Zawartość kolejnych wydań „Płaju” to swoista kronika ważnych wydarzeń tworzących razem znacznych rozmiarów rozdział w historii polskiej turystyki i krajoznawstwa karpackiego. To także istotny fragment naszej kultury górskiej. Bliskie prawdy jest uniwersalne stwierdzenie, że wielkie rzeczy dzieją się, gdy się spotykają ludzie z górami. „Płaj” zajmuje ważne miejsce wśród czasopism poświęconych górom; wyspecjalizował się w tematyce obejmującej różnorodne dziedziny – krajoznawstwo, historię, przyrodę, zabytki, kultury wielu narodów i grup etnicznych związanych korzeniami z ogromnymi Karpatami. Co prawda, nie konkuruje z niemal stuletnimi „Wierchami”, jednak często ukazuje liczne zagadnienia na znacznie wyższym poziomie, co świadczy o umiejętnościach autorów, ich dogłębnej wiedzy o rzeczach, wydarzeniach, ludziach i społecznych sprawach karpackich oraz o znajomości terenu.

Idea przewodnia „Płaju” od początku jego istnienia to popularyzacja i utrwalenie opinii, że wielkie Karpaty to (...) *fenomen historyczno-kulturowy, który należy postrzegać jako całość, bez względu na dzielące go mniej czy bardziej sztuczne granice. Przy tak określonym zakresie tematycznym każdy zeszyt „Płaju” stanowi przedziwną mozaikę, w której jest miejsce zarówno na wyniki poważnych badań naukowych i materiały źródłowe, jak i na opisy krajoznawcze mało znanych zakątków gór czy regionów, wspomnienia z wypraw, poezję i prozę karpacką, wreszcie recenzje i teksty polemiczne. Jest coś z historii, coś z współczesności, coś z etnografii, coś z historii sztuki, coś z przyrody. Jest o Karpatach polskich, o ukraińskich, słowackich i rumuńskich. Oczywiście nie w każdym tomie można znaleźć wszystko to naraz, jednak na pewno w każdym prawdziwy miłośnik Karpat znajdzie na którejś z ponad dwustu stron coś interesującego dla siebie. „Płaj” jest, tak jak Karpaty, fenomenem, a w każdym razie rzadkością wśród tego rodzaju pism – sam bowiem zarabia na sobie i to bez reklam. (...) Autorzy, poza wdzięcznością redakcji i czytelników mogą liczyć jedynie na symboliczną nagrodę za najlepszy tekst w kolejnym tomie – odnotowano w biografii czasopisma.*

Od piętnastu lat, czyli od 2002 r., od tomu 24 (a obecnie czytelnicy dostali nr 54), współwydawcą „Płaju” jest Oficyna Wydawnicza „Rewasz”. Zajmuje się ona obsługą formalno-finansową almanachu, a także jego dystrybucją.

Tomasz Kowalik

O gustach się nie dyskutuje

Wtekście o warszawskich świątyniach (NS 11/2017) czytamy m.in: *Wiele kontrowersyjnych opinii wzbudziło sławne, ale i obśmiewane sanktuarium w Licheniu czy Świątynia Opatrzności Bożej w Warszawie. Oczywiście nie zmienia to ich statusu jako miejsc żarliwego kultu, które zyskują miano sanktuariów i są celem pielgrzymek wiernych, bowiem – zgodnie ze starą prawdą – „o gustach się nie dyskutuje”*. Wiele jest takich kościołów, które wzbudzają mieszane odczucia estetyczne. Jednym z nich jest toruński kościół Sanktuarium NMP Gwiazdy Nowej Ewangelizacji i św. Jana Pawła II. Położony jest blisko zachodniej granicy miasta, w pobliżu Portu Drzewnego. Zaraz obok znajduje się zespół budynków Wyższej Szkoły Kultury Społecznej Medialnej. Do owego kościoła zwanego powszechnie „kościółem Ojca Rydzyka” ciągną pielgrzymki, tam odbywają się imprezy, święta rodziny Radia M. (w amfiteatrze). Kościół znany jest też z kontrowersyjnej architektury i wystroju wnętrza. Trudno to opisać w krótkich słowach, raczej trzeba zobaczyć. Nie tylko bryła świątyni budzi emocje, ale także jego wnętrze stanowiące mieszankę wszelkich znanych ludzkości stylów – od stylistki sumeryjskiej po malarstwo socrealizmu... Dość powiedzieć, że wśród mieszkańców Torunia funkcjonuje jako „największa na świecie wyciskarka do cytryn”, a nawet kojarzy się ze scenografią do filmu „Star Trek”. Na dowód zdjęcie – widok od strony Wisły.

Juliusz Wystouch



NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.
Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki" przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Piotr Dacko**
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**
Korekta: **Dorota Dembkowska**
Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: **Juliusz Wystouch**



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931